Dr.Kowalski Edward
Poznan
Daszyńskiego 100 m.

Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI
Warszawa, 23 lipca 1950 r.
Nr 29 (243)

Dominik HORODYŃSKI

# 22 LIPCA

Przed sześciu laty ukonstytuował się PKWN i ogłoszony został w Lublinie Manifest Lipcowy.

Sześć lat to właściwie krótki okres w życiu narodu. Ale znaczenie upływającego czasu nie mierzy się jego długością. Wagę czasu wyznacza wielkość wydarzeń, natężenie twórczych dzieł, przeżyć i przemyśleń dokonanych na jego przestrzeni.

Lata 1944 — 1950 należą już do historii. Dla historii Polski — i to absolutnie na każdym odcinku życia narodowego — są to lata przełomowe, w całym tego słowa znaczeniu historyczne.

Jakie było położenie naszego narodu w lipcu 1944? Bez przesady możemy stwierdzić, że był to jeden z najtragiczniejszych momentów w naszych nie łatwych dziejach. W Warszawie przygotowywało się powstanie, które miało ją zniszczyć; zachodnia Polska należała do Rzeszy i ogołocona była z Polaków; w centralnej szalał terror okupanta; na ziemie nasze wtoczył się i zatrzymał na nich, wschodni front drugiej wojny światowej; ludzie rządu londyńskiego, oraz ich odpowiedniki krajowe, stracili wszelkie poczucie rzeczywistości i odpowiedzialności politycznej.

W takim momencie padły słowa Manifestu. Obóz P.K.W.N. wiedział co trzeba czynić i nie bał się odpowiedzialności. Jakie zadania stały wtedy przed ludźmi, którzy podjęli się realizować polską rację stanu?

Po pierwsze trzeba było kontynuować wojnę z Niemcami, aż do zwycięskiego końca.

Po drugie należało ustalić stosunki między Polską a ZSRR. Jest rzeczą jasną, że bez uregulowania tych stosunków nie można by było kontynuować wojny z Niemcami, ani też realizować dalszych zadań stojących przed narodem.

Po trzecie należało przeprowadzić skuteczną walkę o granice nowej Polski.

Po czwarte należało odbudować naszą państwowość. Trzeba było natychmiast z niczego stworzyć cały ogromny aparat państwowy.

I wreszcie trzeba było obalić zmurszały gmach wstecznego ustroju i drogą rewolucji stworzyć nowy porządek społeczno-ekonomiczny i wyzwolić nowe siły społeczne.

Jak i w jakim stopniu te ogromne zadania zrealizowane zostały przez obóz, który przed sześciu laty objął w Lublinie władzę?

Odrodzone wojsko polskie reprezentowało wysiłek narodu w końcowej fazie zwycięskiej wojny z Niemcami. Przy boku Armii Czerwonej dywizje polskie wkroczyły do Berlina.

Najważniejsze polskie zagadnienie polityczne, sprawa stosunków polsko-radzieckich, znalazło swoje właściwe i jedyne rozwiązanie w pakcie o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy podpisanym między Polską a ZSRR w dziewięć miesięcy po ogłoszeniu Manifestu, lecz przygotowywanym przez twórców Manifestu już w okresie wojennym. Trzeba jeszcze raz dziś, po sześciu latach, podkreślić, że żaden inny polski ośrodek polityczny, poza obozem autorów Manifestu Lipcowego nie mógł na właściwej platformie postawić, ani tym bardziej konsekwentnie realizować tego podstawowego warunku istnienia Polski, jakim jest sojusz z ZSRR. Przełom w stosunkach polsko-radzieckich to historyczna zasługa obozu rządzącego. Dzisiaj dalsza praca nad wzajemnym poznaniem i zbliżeniem się naszych narodów jest stałym zadaniem wszystkich Polaków.

Sprawa granic. Po ustaleniu — zgodnie z jałtańską decyzją trzech mocarstw — wschodniej granicy Rzeczypospolitej w oparciu o ZSRR rozstrzygnięta została w sposób sprawiedliwy i korzystny dla Polski sprawa naszej granicy zachodniej.

Wiemy w jak błyskawicznym tempie odbudowany został — a właściwie na nowo stworzony z niczego — cały aparat państwowy. Pamiętamy pierwsze miesiące urzędowania rządu w Warszawie, bez telefonów, bez wody i światła. Na ruinach odbudowane zostało życie gospodarcze. Odtworzone państwo zaczęło się rozwijać. Równocześnie dokonywała się rewolucja społeczna, która w szybkim czasie całkowicie zmieniła społeczny, gospodarczy i polityczny obraz naszego kraju.

Jak widać z tego krótkiego przypomnienia znanych faktów obóz Manifestu Lipcowego wykonał i wykonywuje nadal te zadania jakie postawiła przed nim przed sześciu laty polska racja stanu.

Mówmy szczerze. My, wielka ilość Polaków z poza kręgu ówczesnej lewicy, mieliśmy wątpliwości, czy obóz Manifestu, którego trzon stanowili komuniści, potrafi skutecznie realizować nakazy polskiej racji stanu. Szczególnie w owych pierwszych miesiącach rewolucji polskiej, w okresie bolesnego rozdarcia wśród społeczeństwa.

Katolicy polscy mieli też wątpliwości i opory natury ideologicznej. Czy można popierać obóz polityczny w jego wysiłku budowy nowego życia, nawet gdy z punktu widzenia narodowego osiąga on duże rezultaty, jeżeli równocześnie obóz ten wprowadza ustrój ekonomiczny i społeczny oparty o zasady zdecydowanie materialistyczne?

Dzisiaj, w oparciu o doświadczenie sześciu lat, możemy stwierdzić, że mimo ogromnych trudności obiektywnych, mimo oporów wszelkiego rodzaju ludzie ci potrafili zrealizować najważniejsze zadania narodowe, wspólne wszystkim Polakom. Pogłębiający się proces rewolucyjny, proces trudny i niejednokrotnie bolesny wyznacza wyraźne perspektywy przyszłego rozwoju społecznego Polski. Równocześnie proces ten wyzwolił nowe siły społeczne, których aktywność zmienia z kolei całkowicie obraz naszego kraju. Gdy dzisiaj w rok po otwarciu trasy W—Z otwieramy Dom Słowa Polskiego, gdy budujemy Nową Hutę, gdy przekształcamy nasz kraj z rolniczego na przemysłowo-rolniczy, gdy wszyscy w taki, czy inny sposób wprzęgnięci jesteśmy w realizację gigantycznych zamierzeń Planu sześcioletniego — to naprawdę możemy stwierdzić, że dzieją się w Polsce wielkie rzeczy. Oczywiście, trud budowy nowego życia dźwiga całe społeczeństwo. Fakt jednak pozostaje faktem, że to marksiści w tym trudnym i wielkim okresie prowadzą Polskę. Oczywistym jest również, że nie-marksiści nie ze wszystkimi pociągnięciami obozu rządzącego mogą się zgadzać, że wiele słusznych nawet postulatów realizowaliby inaczej. W sumie jednak muszą stwierdzić, że obóz rządzący zasłużył na uznanie z racji konsekwentnej służby tym celom, które narodowi polskiemu są wspólne.

Porozumienie Kościoła z Państwem było odpowiedzią na wątpliwości nurtujące wielu katolików polskich. Naturalnie samo zawarcie porozumienia nie wystarcza. Trzeba go przede wszystkim zrealizować. Jest to zadanie zarówno marksistów jak i katolików. Dla nas jest to sprawa najważniejsza. Nie chcemy ukrywać, że problem współżycia i współpracy katolików marksistów jest jednym z najtrudniejszych zagadnień. Pewni jednak jesteśmy, że w obecnej chwili mamy w Polsce wiele wspólnych zadań, wobec których muszą ustąpić wszelkie tendencje do rozdmuchiwania rzeczywistych różnic.

Kończąc te krótkie rozważania na jeszcze jedną, szczególnie ważną sprawę, trzeba zwrócić uwagę. Jest to sprawa wojny i pokoju. Wszelkie zagadnienia bledną wobec możliwości wojny, która grozi zagładą cywilizacji. Polska jak i cały światowy obóz budujący socjalizm walczy o pokój. Po stronie ludzi walczących o pokój jest miejsce każdego uczciwego człowieka, każdego Polaka. Biskupi polscy podpisując apel sztokholmski wyraźnie wskazali gdzie jest miejsce katolików polskich. W chwili gdy bomby amerykańskie niszczą miasta i wsie Korei, gdy cały świat kapitalistyczny przygotowuje wojnę, a w ostatnich tygodniach całą siłą swej propagandy szerzy panikę wojenną — my zajęci jesteśmy planem sześcioletnim, likwidujemy resztki analfabetyzmu, drukujemy książki. Jeśli możemy to czynić, to wynika to nie tylko ze szczęśliwego układu politycznego, ale i z mądrej polityki obozu rządzącego. Dlatego tym bardziej dzisiaj w trudnym i niebezpiecznym momencie, musimy wokół tego obozu, który wykazał, że rozumie i umie realizować polską rację stanu, skupić wszystkie siły narodowe. Obóz rządzący wziął na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie Polski przez okres pełen niebezpieczeństw i niespodzianek. Dokona on tego zadania tylko z pomocą wszystkich Polaków. O tym musimy stale pamiętać.

DOMINIK HORODYŃSKI

* * *

Podnoszę ręce w obronie pokoju
bezbronne ręce matki
tą właśnie bezbronnością
potężne
i krzyczące.
Ręce
które chcą w słońce
podnosić uśmiechnięte dzieci
a nie zasłaniać im oczy
przed widmem
śmierci.

Podnoszę ręce w obronie pokoju
— wszystkie matki świata
powiedzcie
czy można osłonić dziecko
przed świszczącą kulą
przed walącymi się balkonami
przed hukiem bomb.

Chcemy mieć synów budowniczych
budowniczych myśli
i miast
i sadów rodzących
coraz słodsze owoce
budowniczych
wielkiego wspólnego dobra,
które dojrzewa
tylko w słońcu pokoju.

Podnoszę ręce przeciwko wojnie
— wszystkie matki świata
czy nie jednakowo drżą nam serca
przy pierwszym krzyku dziecka
— powiedzcie:
chcemy pokoju.

KRYSTYNA KONARSKA ŁOSIOWA

Antoni GOŁUBIEW

# DRZAZGA

## (Fragment z III części „Bolesława Chrobrego" p. t. „Złe dni")

DOKOŃCZENIE

Przygrzewało wiosenne słonko — z rożnych zakamarków wyłazili poranieni, których spora gromadka wylizywała się we Wrocławiu z wszelkich dziur i posiekań — grzali się w cieple. Ni rumieńca na twarzy, gęby zielone, oczy z obwisłymi workami, tępa obojętność w tych oczach: obwiązani szmatami, z zapiekłą ropą i krwią, bez rąk i bez nóg, pokłuci i porąbani, bezwolnieruszający szczękami, jakby ciągle coś żuli, albo z martwą, nieruchomą twarzą i bezmyślnym wejrzeniem. Wyciągali przed siebie chude giczoły, plecami opierali się o ścianę, chłonąc chciwie ciepło, gadali do siebie leniwym pomrukiem. Nie o wojnie — mało ich obchodziła wojna, zażyli jej wyżej woli, nie chcieli ku niej wracać nawet we wspominkach. Gadali o domach — każdy opowiadał o swoim, o rodzinie, obejściu, chudobie; o polu i o lesie, o rybach i o zwierzu; ledwie nabiorą sił, powloką się ku swoim, choćby rakiem polazą, dość im książęcej gościny. Gadali o babach — te półtrupy nie podnosiły głosu, nie buchały rechotem, wżdy dumały o parzeniu się i chuć ich żarła. Bez drgnienia warg prześmiewali się z jednego, który tak dostał, że białka mu już na nic. Lulek zostawił doma małżonę zaraz po swadźbie, wyrywał się do niej, do nowopostawionej chaty i pary wołów, gadał o tym wkoło, czy go słuchali, czy nie. W pewnej chwili Czyż stęknął, nie obracając głowy, nie podnosząc powiek, zagadał:

— Przestań że raz. Obmierzło nam słuchać jednego... wkoło a wkoło.

— A ty głuptak nie chcesz to ku swoim. Lepiej ci tu, niźli doma?

Teraz Czyż otworzył oczy, wyprostował się, wyciągnął dwa kikuty rąk — bez pięści — odrąbane rowniutko, zaskrzeczał:

— Z czymże mam wracać? Z czym, pytam! Urżnęli mi gładko obie garście, jednym machem, żeby ich ziemia pożarła, a później wyrzygała napowrót. Z czym mam wracać? Łyżki do gęby nie podniosę, chybaby kto przywiązał. Żeby źreć, trzeba mi się na brzuchu położyć, siorbać, kiej wieprz z koryta. Jakoże mnie przyjmą dzieci i białka, wielka radość z takiego oćca i męża. Lulek zagoi łeb, zdrów będzie, a ja... — patrzył wytrzeszczonymi oczyma, jakby widział ich po raz pierwszy. Leżący na wznak Steb, z dłonią podłożoną pod potylicę, zagadał:

— A no, będą cię tam karmili łyżką po śmierć jako noworodka. A i mnie jedną ręką nijako będzie miskę trzymać i łyżkę. Wżdy ksiądz sam będzie ćkał i Budziwoj, i Giez, i Stojgniew, nie bój się. Im wojna łup niesie, to i dumają o wojnie, kmieci gonią... — Świętek krzyknął:

— Zatknij kaprawy pysk, abo ci własny twój kikut wbiję po gardziel — umilkli, nie mieli dość żywi na kłótnię, zresztą lubili wszyscy Świętka za wesołość i piskanie na rożku.

Dziw, jakie cudeńka zdołał Świętek wyczyniać na rożku — gwizdał jak kos, ryczał by tur, płakał niczym postrzelony zając. Leniwie uśmiechały się wargi rannych na te wydziwiania. I pieśń każdą zdołał wygwizdać — o Siposzu, o Jomsborgu, o dziewce czarnokosej, o szerokiej rzece, o ciemnym lesie. Ważyk rychło uprosił druga, by go nauczył tego umu — Świętek nie tylko się nie wzbraniał, ale mu darował drugi rożek, który miał w sakwie. Powiedział:

— Ukradłem ci go w Pradze, a wrzeszczeli Czechy, że ha... Był u nas w drużynie złośliwiec, wołali nań Borutą, jenż zawżdy kpinkował, że na rożku piskam. Wżdy ty masz bolej umu, wiesz, że znikąd tyle radości nie weźmiesz, ile z rożku wydmuchasz. Weź no go, a piskaj na wesele.

Odtąd Ważyk to jedno robił: piskał na rożku. Zapamiętał się w tym piskaniu, jakby wszystko się stało odtąd małoważne — wojna i zgnojona noga, ojciec w dalekim eremie i wykuta przeń piękna zbroja wojacka. Cóż z tego, że mu zrazu źle szło, że nie umiał zgrabnie śpiewki złożyć, skoro nawet pojedyńczo wyciągany ton — wibrujący, choć chropawy, pełen zadzior i nierówności — sprawiał łaskotanie pod żebrami, do głębi przejmował głupim uszczęśliwiającym wzruszeniem. W tym ciągnącym się na kształt mieniącej się smolnej nici pisku taiło się drganie życia — żywy był ów pisk jak ryba w strudze, albo jaszczurka na wydmie, albo ptak na gałęzi czy zwierz przemykający się w gąszczu — a każdy inny; cieńszy lub grubszy; skrzący się lub matowy; cichy — iście komarzy — lub hałaśliwy i zuchowaty. A jeśli udało się skleić dwa albo trzy tony, przeplatać je ze sobą i powtarzać — krócej i dłużej, ciszej i głośniej — łączyć je lub rozdzielać, wtedy naisto drgała w Ważyku radość, o której bajał Świętek. Chłopiec wciągał mocno powietrze w płuca — i piskał wciąż, piskał bez przerwy, zawsze z tą samą niekończącą się zajadłością. Czyż trącał nogą Lulka, mówił wskazując piszczka oczyma:

— Dumałby kto, że mu siekierą łeb rozrąbali, abo sulicą przebili wątrobę i mu wypuścili z żółcią. Wżdy u niego cały um pewno był w pięcie i wypłynął z kałem — Lulek szczerzył swe równe, drobne zęby, unosił z naigrawaniem się brwi, zezował przymrużonym okiem. Ale Ważyk nie dbał o te jawne oznaki szyderstwa. Piskał.

Rzadziej teraz myślał o ojcu i swej przyszłości. Ale raz zgadało się o tym ze Świętkiem, Ważyk zwierzył się drugowi, że myśli do ojca iść. Świętek spytał:

— A kaj to żyje twój ociec.

Ważyk odrobinę się nadął.

— Podle Międzyrzecza. Nielada świątek Jezu Krysta jest mój ociec i tamok z inszymi świątkami... i ze strykiem Żurawiem... żyje a pieje w ważnej cyrkwi. Bajali mi o tym, kiedym do Gniezdna pojechał, alem tam nie był...

— Czekaj no — przerwał mu pośpiesznie Świętek — jako mołwisz? Podle Międzyrzecza, mołwisz?

— A ino...

— W puszczy?

— W puszczy.

— A ono miejsce jak się zwie? Erem?

Erem.

— Słyszałem ci — mówił Świętek zmienionym głosem — jako podle tego miejsca siedziała stróża księdza i jako przewodził jej srogi woj, jenż zwał się Bugaj.

— Może to być — potwierdził z dumą Ważyk.

— Nie może być, jeno tak było. Owóż jen, Bugaj mołwię... wraz ze stróżnikami... nocą, mołwię... Bugaj...

— Cóż on Bugaj?

— Bugaj a tamci wzieni topory a miecze i pobili wszystkich świątków, jacy tam żyli.

— Świętek?!

— Nie wiem. Tako gadają.

Zapadła długa cisza. Jakże to — jego tatkę, wesołego, miłego Dudka, pierwszego kowala w księstwie i świątka Jezu Krysta, jakiś woj, Bugaj... toporem... — Ważyk mrugał gęsto powiekami, patrzył ogłupiały na druga. W końcu wyjąkał:

— Świętek. Lelum...

Świętek powtórzył:

— Tako gadają.

Ważyk podniósł się, wolno pokusztykał do siebie. Nie zauważył leżącej kłody, omal się o nią nie przewalił. Usiadł, siedział długo, patrzył na kłócące się wróble. Potem wyciągnął zza pazuchy rożek, spróbował zapiskać. Ale urwał w pół tonu, ruchem wielkiego zmęczenia włożył rożek z powrotem za pazuchę. Podniósł się, spojrzał bezradnie na zbliżającego się doń Świętka.

— Co mi robić?

— Abo wiem — odparł szorstko Świętek —a może puste to gadki. Idź do biskupa, on ci powie.

Długi, szczapowaty Jan zacierając pośpiesznie ręce słowo w słowo potwierdził gadkę Świętka; bez końca prawił o wielkości Ważykowego ojca, błogosławionego brata Mateusza. Ważyk stał oszołomiony, patrzył skamieniałym wejrzeniem na okrytą szpakowatym zarostem twarz biskupa, na jego dobre, nieśmiałe oczy — nic nie pojął z biskupiego bajania. Ale czuł, że mu się twarda opora wali pod nogami. Gdy biskup skończył swą gadkę, chłopiec skłonił się niezdarnie, bez słowa wykusztykał z izby.

Wtedy to dopiero chwyciła go szarpiąca tęsknota za ojcem — aż zamroczyło chłopca. Wszystko naraz zbrzydło, co mu jeszcze zostało w życiu. W dzikiej nienawiści połamał na kawałki otrzymany od Świętka rożek i skorupy wyrzucił do Odry.

×

Do Krakowa wrócił aż w jesieni. Zrazu nie mógł się przyzwyczaić do znajomej chaty ciotczynej, wszystko się mu zdało obce, ale rozruszał się szybko. Ostatnie pół roku we Wrocławiu okrywała mgła zapomnienia — nie bardzo wiedział, jak tam żył, co robił, z kim gadał. Teraz rzadko myślał o ojcu, odganiał te dumki. Przyzwyczaił się również do myśli, że jest kaleką, przestało go to martwić. Wróciła mu wesołość, jak dawniej wykrzykiwał i śpiewał. Ciotka zapędziła go do zardzewiałego kładziwa, kleszczy i młotów — trzeba było skądś zdobyć ziarno, wełnę, len. Ważyk więc kuł podobnie jak ojciec i stryj, ale bez ich zaciekłości w robocie. Prawdę mówiąc nie bardzo lubił kucia. Co lubił? — chyba nic; jedynie śpiewki i śmieszne pogwarki a przekpinki. Byle co rzucał nieostygłe jeszcze żelazo i kulał się ku ludziom. Siadywał przy chacie kołodzieja Grudy, przekomarzał się z jego córkami — podobały mu się te urodne, kraśne dziewki — śpiewał im wojackie piosenki, których umiał moc nieprzebraną. Brał udział w niekończących się kłótniach Gada z Makiem podjudzając obydwóch — zaśmiewał się, gdy Gad tuszył, że otrok trzyma jego stronę, Mak — że jego. Przedrzeźniał jąkałę Momota, od którego wydrwiwał za nic ziarnka bisioru: brał parę w garść i wykrzykiwał: „Cetno, czy licho, cetno twoje, licho moje", lub naodwrót — i zwykle wygrywał; nikt nie wiedział, jak obwieś to robi, Momot dziwił się, ale bisior oddawał. Gdy się uzbierał piękny sznur, otrok mamił nim wszystkie dziewki, a potem dla śmiechu obdarował dziobowatą Tobołę. Z Okszą wałęsał się po całym podgrodziu, właziii do każdego obejścia, a choć chłopiec nieraz złą psotę zrobił, lubili go ludzie i gościli chętnie — może przez pamięć na ojca i stryja, a może dla jego wesołości, śpiewów, gadek, dla piskania na rożku i dudce, gędzenia na starych gęślach. Bo zaciekłość do gędźby wróciła mu z całą siłą — można rzec, iż to tylko robił z oddaniem, piskał a gądł. Swarzyła się ciotka, dogadywali poniektórzy sąsiedzi, ale on młot rzuci, wykręconą nogę podwinie pod siebie i piska lub smykiem ciąga. Utrapienie czyste miała Sławka z otrokiem.

Minęła jesień, zima i wiosna — przyszło upalne lato. W Krakowie ze szczętem zapomniano o Pradze, kiedy to lada dzień spodziewali się ludzie czeskiej nawały; teraz gród huczał wieściami o wojnie z Niemcem. Daleka ona wojna, gorzi ziemiom Ślęzan i Polan — starzy ludzie pomną, jak Chrobaci wojowali z tymi ziemiami, za Ziemomysła; za Mieszki — a przecie i ich ta daleka wojna dotyczy; a na dodatek Kraków oglądał się na Węgrów, wiedzieli wszyscy: powinie się noga księdzu kajś tam w ziemi Polan, wnet trzeba czekać Stefanowych wojów pod częstokołem Krakowa. Zrazu zdawało się, że przepycha się ksiądz z królem i że siły są równe — a w jesieni pewno nawet głupek Oksza wiedział: źle z księdzem. I pewno w całym Krakowie jeden tylko Ważyk nie nadstawiał ucha na wieści, beztrosko piskał na swej dudce. Najspokojniejsi nawet ludzie — ciężki Pałuba i cichy, nikomu nie mącący wody Gruda — zaczynali wymyślać durniowi w rozśmieszoną gębę, zrzędzili wobec ciotki; Sławka jeno rękoma plaskała z urazy. A wieści były coraz gorsze: ponoć Niemcy oblegli Poznań, gęstym mrowiem pełzną na wały, ledwo się im poznańscy opędzą. Krzywili się ludzie, kiedy im Ważyk gadał ze śmiechem nierozumne słowa:

— Niejedna tam zadziora sterczy na poznańskim wale. Nie bójcie się, pokłują sobie nogi gady, nie dowloką się własną siłą do domu — śmiech chłopca brzmiał gorzko, jakby wszystko mu już było za jedno. Mroczyli się i wzruszali ramionami:

— Co gada głuptak, co ma zadziora do wojny? — nie pojmowali nic z tego gadania.

Pogoda długo trwała tej jesieni, aż wkońcu rozchlurało się niebo. Któregoś dnia przyleciał goniec — mokry całkiem — do Sulisława, niewiadomo skąd i jak migiem rozleciała się nowina, od chaty do chaty niosła się z chlupotaniem bosych nóg, baby krzyczały ją przez płoty:

— Mir ksiądz uczynił z królem niemieckim, koniec wojnie — nie zważając na deszcz wszystko się wysypało z chat. Podgrodzie dygotało radosną wieścią:

— Mir — jakby ich wszystkich dotyczył ten mir.

Mimo pluty i błota targi jesienne były liczne jak nigdy — ludzie przychodzili nie tylko, by towary wymieniać, ale by radować się, opowiadać i śpiewać. Na błotnistych ulicach, przełazach i pustych miejscach, wokół trzemu, na targowisku, po chatach przeklewała się ludzka radość. — „Mir ksiądz uczynił, koniec wojnie" — to tylko grało we wszystkich piersiach. Oddychało się swobodniej i spokojniej, targ szedł ochoczo — ludzie sobie naraz przypomnieli, że i tego doma nie mają, i owego; dziwili się też mocno: jak przez tyle lat mogli się bez niczego obywać? Wszystkie drogi prowadzące ku Krakowowi zawalone były ludem.

×

Ważyk szybko piął się pod górę, oczy się mu paliły pożądaniem. Musi odebrać swoją broń, przynajmniej nóż, miecz albo siekierę. Zamieni je na ziarno, ziarno odda staruchowi... — aż trzęsło się w nim wszystko od niecierpliwego dygotu.

Do Sulisława długo nie mógł się dostać — grododzierżca gądał z wysłańcem księżym, który dopiero co przybył. Zrazu nie chciano chłopca w ogóle puścić, dopiero gdy wspomniał na swego piastuna, imię Odrzykonia pomogło od razu; ale czekał jeszcze długo. W końcu zawołano go, w piersi otrokowi głośno stukało, zasychało w gardle. Sulisław pił piwo z gościem, ze zmarszczoną brwią słuchał przyciszonego szeptu — na skrzyp drzwi podniósł roztargniony wzrok.

— Ty z czym tu? — szczeknął krótko.

Nim otrok zdążył opowiedzieć, do izby wtoczył się Tomisław z trzema włodarzami. Był czerwony, oczka roziskrzone, wąsy śmiesznie ruszały się mu w gniewie; zakrzyczał podnieconym dyszkantem:

— Naigrawają się smardy z was i ze mnie. Świnię ukradł złodziej, a włodarzy obrzucili kałem a przekpinkami... za to, że łapali, że trudzili się...

— Kto? — srogo spytał Sulisław.

— Abo ja wiem kto, ułapiesz to takich. Powsinogi śmigłe mają kulasy, ja to wiem. Ja z dawna z ta-

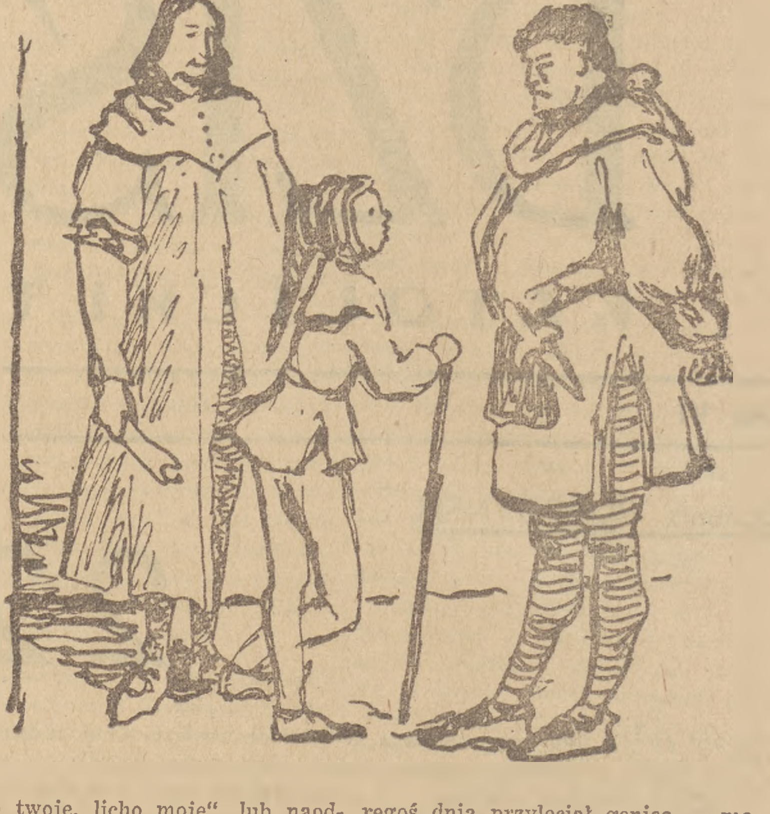

kimi wojuję, jam ci przeznał ich do ostatniego włókna... nie ułapiesz gadów.

— To poc przychodzicie do mnie?

Tomisław jeszcze szybciej zaruszał wąsami, całkiem jak rozsierdzony zając.

— Włodarze, mołwią, że najgorsi są przywłoki. „Torbacze“ mołwią „najgorsi“. Ja to wiem, że przywłoki najgorsi. Lelum, co tego się zwaliło, targowego nie płacą, spod rąk uchodzą, kradną i wydrwiwają, a wszystko w worki tkają, unoszą k‘sobie. Ja nakazuję włodarzom: „Gnać torbaczów“, ale tam... Tfu! jeszcze takiego targowiska nie było. Godne kupce z dalekich stron poważali mnie i głosu mego słuchali. a te śmierdziele nie słuchają — Tomisław aż zatychał się z gniewu, oczkami coraz straszniej błyskał. Sulisław pokazał palcem na swego gościa, powiedział sucho, w głosie jawne niezadowolenie:

— Jest tu Kłąb od księdza, pomnicie Kłąba?

— Ja wiem... — wpadł w słowo Tomisław — Kłąb. Był tutki komornikiem, ja pomnę.

Sulisław uśmiechnął się krzywo.

— Wybijcie sobie z głowy komornika, nynie to woj... wielmoża... Przysłał go tu ksiądz z swoim znakiem, iżby dojrzał, by my tu krzywdy onym przywłokom nie robili.

— Torbaczom? — wykrzyknął Tomisław, oczy wytrzeszczył, zatkało go. Sulisław burknął:

— Cóż to patrzycie, kiej smrodzący kot. Tak i jest: torbaczom. — Teraz dopiero komornik się rozwrzeszczał:

— Jaką krzywdę? Dani nie płacą, winy nie ma z czego wziąć, ciągną wszystko, a chmara tego taka, że w mig objedzą Chrobację. Ja to wiem. Wprzódy krobię pszona dostałeś za pięćdziesiąt kruszy, krobię rży za sześćdziesiąt i pięć, a nynie i sto kmieć prosi, sto kruszy, słyszycie li to? — Tomisław powiódł po wszystkich wzrokiem, w małych oczach oburzenie. — Dopiero kiej dostanie w kark, spuści, wżdy mniej, niż za osiemdziesiąt nie odda, i jeszcze kwiczy, że ji obdarli. Co to jest? — komornika krew zalewała — czego to pcha się ta ćma, kto im zwolił?

— Ksiądz — odparł krótko Sulisław.

— Ksiądz? — komornik podniósł w górę oczy, stał chwilę skamieniały. — Dobry czas idzie, kiej ksiądz smardów puszcza na Kraków, iżby nas objedli. Abo to mają co dobrego na zamianę? Dziurawy szczyt, abo szczerbaty nóż, abo kilka grotów z obłamanymi ostrzami, zrazu poznasz: zbierali wystrzelone, wyciągali z ziemi i z pniów. Ja to wiem. Ksiądz im zwolił? Abo prosili to księdza i... — tu oczy Tomisława błysnęły chytrze — mają to znak od księdza? A kto nie będzie miał znaku, będę takiego łapać, w dyby sadzać.

— Ja ci mam znak od księdza — ozwał się swym metalicznym głosem Kłąb — a nakazał mi ksiądz tako: nynie wojna wybiła wszystkie ziemie, kędy Niemcy, Czechy, abo Welety przeszły. Tegdy nakazuję, żeby ludziom z tych ziem nie bronić tarżyć, abo zbierać ziarno i wszystko inne do jedzenia, nieść to k‘sobie. A targowego mają one ludzie nie dawać i nie lza od nich go brać. Z tym mnie wysłał Piekuta i ksiądz.

Tomisław zamrugał gęsto powiekami, usta otworzył, aż naraz odwrócił się od włodarzy:

— Co stoicie, by osinowe czopy? Słyszeliście: wola księdza. Idźcie, a drugim powiedzcie. A trafi się wśród torbaczy złodziej, łapcie ji: do dziesiątej krwi będę takiego siekł — i z drwiącym śmiechem do Kłąba:

— kraść torbaczom nie zwolił ksiądz na targu? Nie zwolił to?

— Nie. Kraść nie zwolił — Kłąb zmrużył oczy w dwie szpareczki. Tomisława złościło, że wyciągnięty z puszczy smard nynie rozwiera przed nim pysk, za równego się ma, może za wyższego. Wąsy się mu wciąż trzęsły mocno — to Piekuta wprowadził nowy ład, wywyższa każdego, kto mu się nada, nie oglądając się, czym kto był wprzódy.

Włodarze wyszli. Teraz dopiero Sulisław przypomniał Ważyka, zwrócił się doń ostro — nie rad był, że otrok słyszał spory z Tomisławem. Namarszczył brwi.

— Gadaj prędko, czego chcesz, abo ci łeb urwę. Jak cię zwą?

— Ważyk.

— Czyjś.

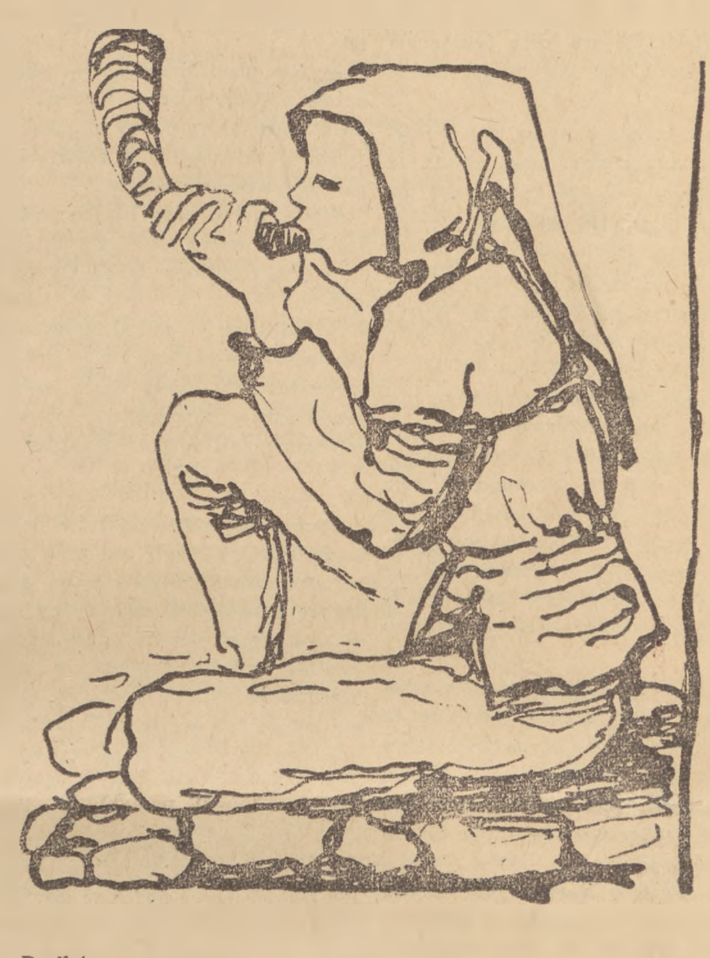

— Dudków syn.

— A... Dudków syn? Twego oćca pobili. Wiesz?

— Wiem.

— Tegdy prędko gadaj i wydzieraj stąd, żebym ci drogi nie pokazał.

— Macie broń moją... ukutą przez oćca... — wyjąkał Ważyk.

— Mam. Odrzykoń przysłał. I co?

— Oddajcie mi ją.

— Jako mołwisz?

— Oddajcie mi, panie, moją broń.

Sulisław patrzył na chłopca, jakby nie rozumiał.

— Oddać ją? Pocóż ci ona? Chcesz ostać wojem na jednej nodze?

— Potrzebna mi.

Sulisław się osrożył.

— Bacz do kogo mołwisz, widzisz ji, sysuna. Myślisz, że ci broń wydam, taką broń, kiej nie wiem na co ci ona. Nie wydam, słyszysz? Nie będzie to odpowiadał, chmyz! Wraz mi gadaj.

— Jest tu staruch... gęśle ma, jeszczem takich gęśli nie widział. Chcę nóż, abo topór czy miecz na gęśle mieniać.

— Na gęśle?... — wycharczał Sulisław, twarz mu poczerwieniała, oczy wyszły na wierzch. — Na gęśle... — zerwał się, wyrznął w pysk otroka, aż ten się zachwiał. — Masz! I bolej i trzymaj, ty gędzące szczenię; masz i masz. Widzicie ji, taką broń, że lepszej i ksiądz nie ma, a on... — Sulisław pienił się jak rzadko, każdy człek z grodu i podgrodzia schowałby się w mysią dziurę przed tym gniewem, ale Ważyk otarł rękawem cieknącą z wargi krew, nie spuścił wzroku, uparcie patrzył spod nachmurzonych brwi, wysupłał przez zęby:

— Moja ona, ta broń — jakoś minął mu strach przed grododzierżcą.

— Mało ci? Stłukę cię tak, że mięso odstanie od kości.

— Moja ona — powtórzył zacięcie otrok.

— W jamie zgnijesz...

— To zgniję. A broń moja, ociec mi ją wykuł.

Sulisław spojrzał uważnie na niedorostka.

— Oo... — mruknął — do oczu mi skaczesz, widzę, że wiedział ociec komu broń kuć. Nie zając z ciebie, ni przepiórka, no! Szkoda, że ci kulas przetrąciło — patrzył ciekawie na chłopca. — To kiej nie strachasz się, rzekę ci: prawie gadasz, twoja ona. Wżdy ci jej nie dam, pojmujesz? Przyjedzie ksiądz, to rozsądzi, co z oną bronią robić. A na gęsię.... — i znów krew zaczęła napływać Sulisławowi do twarzy, fala gniewu na zuchwałość Ważykową.

Lecz Ważyk powtórzył z tym samym uporem:

— Mus mi te gęśle mieć.

— Po co się one? — wykrzyknął grododzierżca.

— Jak to po co? — zdziwił się Ważyk i naraz zaciął się: jakże to powie grododzierżcy, po co mu gęśle? Po co? — to wie każdy: żeby gąść. A przecie nie o byle gędzenie mu idzie. Nie o gędzenie? o gędzenie przecie. W tejże chwili stało się mu jasne: że grododzierżca o innym gędzeniu duma, niźli on. O jakim że on dumał, nie wszystkie to gędzenie jednakie? A jakby całe jego życie zależało od tych gęśli, jakby one jedne mu pozostały, skoro mu noga wygniła i skoro nie być mu wojem. Wżdy k‘czemuż gęśle potrzebne? — jeno ku rozweseleniu. Czyli on tego tylko chciał?

I w tejże chwili głębokie zwątpienie ogarnęło chłopca — zwątpienie w gęśle i w siebie. Może prawda to, co gadają o nim: przygłupek jest i wesołek, więcej nic.

Lecz mimo zwątpienia był pewien: musi mieć te gęśle — wbrew wszystkich: grododzierżcy, komornikowi, a choćby i księdzu. Ukradnie je. abo co? Zaciął zęby i odpowiedział głupio, bo jak miał powiedzieć?

Po co mi one gęśle? A ku gędzeniu... — Sulisław odchylił się na ławie, zaśmiał się grubym basem, jakby z ulgą, przez śmiech zawołał:

— Widzicie ji, wesołka, gęśli się otrokowi zachciało, cacy się zachciało. Chybajże na podgrodzie i bądź rad, ż ś tyle jeno dostał, ileś dostał. A broń oną wybij sobie z durnego łba, słyszysz?

— Słyszę, panie — zdławionym głosem powiedział chłopiec. Lecz w tejże chwili wtrącił się Kłąb:

— Słuchajcie no — zwrócił się do grododzierżcy — wżdy otrok takoż ma prawo rzec, co z oną bronią ma być: nosić jej już nie będzie. Pewno, że nie lza dać zamienić durniowi takiej siekiery na gęśle, wżdy kiej mu się tak chce onych gęśli...

— Kądy ty kręcisz? — podejrzliwie spytał grododzierżca. Tomisław wykrzyknął:

— Kręci, ja to wiem. — Ale Kłąb odpowiedział spokojnie:

— Nikaj nie kręcę. Chcę tylko w jednym mieć waszą rękojmię, panie, uczynioną przy świadkach: będzie li kiedy Dudków syn przedawać oną broń, da mi prawo pierwokupu. A za prawo to dam mu gęśle.

Grododzierżca i komornik wlepili w Kłąba zdumione oczy. Sulisław krzyknął:

— Duruś się napił, czy co, Kłąb? A wiesz ty, co trzeba dać za oną broń? Choćbyś do śmierci zbierał, nie uzbierasz tyle — Tomisław zaś odchrząknął, dodał:

— Dla wielmoży to broń, nie dla smarda, choćby ten wojem ostał.

Czerwoną wstęga krwi zabarwiło się wypukłe czoło Kłąba.

— Może się tak zdarzyć, że mus mi będzie wielmożą ostać, jak temu otrokowi dorwać się do gęśli. Ale co nam z badyli płot pleść? Nie będę miał dość bogactwa, by dać za oną broń, weźmie ją taki, co je będzie miał. Wielmoża. Czy tak, czy tak, nie przegracie na tym, Sulisławie, a otrok będzie miał gęśle.

— To może być — odparł po namyśle Sulisław — ale skończy się na tym, że darujesz Ważykowi gęśle i tyle z tego będziesz miał sporu. Wżdy to twoja rzecz. Ważyk, dajesz Kłąbowi prawo pierwokupu za gęśle?

— Daję — odparł bez wahania Ważyk.

— Ja z Tomisławem będziem w potrzebie świadczyć. A nynie, skorośmy z niedorostkiem spiech zrobili, trza go nam zapić. Przepijam do cię, Ważyk... — widać było, że grododzierżcę rozśmieszyła cała sprawa.

Zaraz że potem poszedł Ważyk z Kłąbem na podgrodzie, odszukali starucha z gęślami i Kłąb kupił je za obrąbek srebra. Ważyk chwycił zdobycz w obie ręce, prędko pokusztykał w poszukiwaniu kąta, gdzieby mógł gęśle wypróbować — nie chciał, by go ktoś widział w tej chwili.

×

Były nieladajakie, ośmiostrunne, z szeroką trójkątną podstawą i długą szyją, obijan po bokach mosiężnymi wiórami. Ważyk schronił się w pustej budzie Jętka, przekrzywił głowę, mocno ujął gęśle lewą ręką, pociągnął smykiem. Urwał, podniósł głowę, zasłuchał się, jakby jeszcze dźwięczał mu wydany ton — aż nagle zaśmiał się stłumionym śmiechem rozradowania.

×

Sławka zarzuciła zapaskę, wyszła na dwór: musi odszukać odmieńca, niechże przyjdzie, słuchą gadki Całka o stryju i ojcu; odkąd dostał te gęśle, dwa razy tylko był w domu, niewiadomo, gdzie spał, niewiadomo, co jadł.

— „Pewno znowu się wprosił do Grudy, córy kołodzieja zabawia“ — myślała z urazą Sławka. — „A Całek baja tam o pobiciu Żurawia i Dudka“ — krótki szloch bez łez targnął białką. — „Nie obchodzi zakały rodzony ociec“ — rozglądała się bezradnie dokoła. Deszcz ustał, ale chmury wisiały nisko, zda się zaraz zaczepią o wały Wawelu. Wszędy tłoczno i gwarno — wciąż radują się ludzie z miru; ukłuła Sławkę ta ludzka radość. Z zaciśniętymi wargami szła białka przed siebie, potrącony przez nią Kornik, najstarszy synal Pałuby, krzyknął: „Ej, ciota, wróć się, ślepia pogubiłaś, ludzi nie widzisz“ — nie zważała. Od cyrkwi dochodziły ją wesołe śpiewki, krzyki, piski dudek i buczenie bębna — Sławka pobiegła w tamtą stronę.

Na placu targowym pląsał tłum. Męże i dziewki, nawet białki w zawiciu, wszyscy po społu. Cały plac hopkał pod huk bębna, pod dudy i piszczałki; klaskali w ręce, pokrzykiwali, śpiewali. Nie wiadomo jak — skąd — zrodziła się ta pieśń:

Pośratajże mirze, mirze nam miły—
lelum, lelum, łado, ach!
niech cię Bóg śrataje, co dolę rozdaje
lelum, lelum, łado, ach!

Gdzież tu — w tej skaczącej rozwrzeszczanej ciżbie — szukać bratańca? Ale Sławka ujrzała go wraz — siedział wysoko na występie w ścianie cyrkwi, wykręcony kulas podwinął pod siebie, gębę miał czerwoną, rozweseloną. Trzymał gęśle, z rozmachem ciągał smykiem po strunach, zdrową nogą wybijał takt na ścianie. Ciżba wciąż tańczyła.

*Antoni Gołubiew*

*KRYSTYNA KONARSKA —ŁOSIOWA*

## *Błękitny kombinezon*

*Za tych, co zasypani belkami*
*i gruzem*
*nie doczekali —*
*tak niepowstrzymanie*
*pną się ku górze*
*belki rusztowań,*
*i cegła w rękach się pali*
*i kipi życiem budowa.*

*I dla tych, co przyjdą po nas*
*— by w oknach mieli słońce*
*murarze już nie na setki*
*liczą cegły, lecz na tysiące.*

*I dlatego mały mój syn,*
*gdy przed witryną stanie*
*mówi: kup mi mamo,*
*to najpiękniejsze ubranie*
*błękitny,*
*robotniczy*
*kombinezon.*

**Józef BIENIEK**

# ORGANISTA

W LISTOPADZIE 1949 roku ukazała się w prasie krakowskiej notatka następującej treści: „W popisach eliminacyjnych zespołów wiejskich naszego województwa, biorących udział w konkursie na sztukę i pieśń radziecką największe powodzenie osiągnął zespół chóralno-muzyczny z Doliny. Wykonane przez zespół ten utwory na chór z towarzyszeniem kapeli stały na tak wysokim poziomie artystycznym, że Komisja kwalifikacyjna postanowiła jednogłośnie przyznać mu pierwsze miejsce“.

—::o::—

Wszystkie wady i zalety organistowskiej profesji, jakie w ciągu wieków zawód ten zdołał wykultywować skoncentrowały się z genialną wprost wyrazistością w tyczkowatej postaci dolińskiego „przygrywajki“ — Jakuba Dłubka. Kubuś, jak popularnego ochlaja powszechnie zwano, twierdził sam o sobie, że stworzony jest na obraz i podobieństwo odwróconej litery Y. Było to prawdą o tyle, że nogi Kubusia tworzyły od kolan gwałtownie rozwarty trójkąt, którego podstawy zakończone czymś, co kiedyś mogło przypominać buty, trzymały się jak dwaj śmiertelnie pokłóceni bracia — niby blisko, a przecież dostatecznie daleko, aby nigdy nie zetknąć się wzajemnie. Nad nogami sterczała żałosna reszta: niesamowicie cienki kikut, ozdobiony niby dla wyrównania dysproporcji tułowia olbrzymią głową. Ta zaś kwitła bujną czupryną, potwornie zmierzwioną i niemniej rudą, która rozsadzając wiecznie dziurawy kapelusz, wymykała się na zewnątrz kłębkami złotawych płomyków.

— Odrobina dymu — powiedział ktoś — i głowa Kubusia mogłaby od biedy imitować Krzak Mojżeszów boskim ogniem gorejący...

Ten nieszczególny zestaw fizyczny tłumaczył sam Kubuś tak: Właśnie Pan Bóg wrócił z anielskiego wesela. Gdy wszedł do kancelarii, dyżurny anioł zameldował Mu, że trzeba co prędzej zmontować osobowość niejakiego Kuby Dłubka. Poszedł więc Stwórca do magazynu, gdzie to leżą modele ziemskich stworzeń i dalejże do roboty. Ale, że Mu się porządnie drzemało więc pomylił sobie i w taki to właśnie sposób ortzymałem nogi chorej na krzywicę żyrafy, w miejsce tułowia strusią szyję, głowę lwa i twarz goryla...

— Buzia u ciebie istotnie małpia, ale łeb... — powątpiewał ktoś kręcąc łysą głową. — Czyż lwy bywają rude?

— Czemuż by nie — odpalił Kubuś — jeśli bywają łysi głupcy...

O ile nawet pewne cechy Kubusiowej fizjognomii rzeczywiście potwierdzały prawdziwość teorii Darwina, to znów było w niej coś, co temu gwałtownie przeczyło — piegi. Albowiem nawet sam sławny Verne, dyplomowany wzruszacz wielu pokoleń młodzieży całego świata, w żadnej ze swych gigantycznych fantazji nie miał odwagi twierdzić, że widział... piegowatą małpę.

Ach te piegi! Ile się nimi Kubuś namartwił. Ale nic nie pomogło. Uparły się i były. Każdej wiosny, jeszcze wcześniej niż łąka stokrotkami, zakwitała szeroka gęba Kubusia, jak niebo o zmroku tysiącami ciupeńkich gwiazdeczek. Mobilizowane gorącym apelem słońca dokonywały błyskawicznej inwazji, zajmując mimo gwałtownych sprzeciwów Kubusia całusieńką twarz, łącznie z uszami i szyją, pozostawiając w spokoju jedynie oczy. Te oczy — z oczu wielotysięcznej rzeszy dolińskich parafian najpiękniejsze. Błękitno modre i wilgotne, jak niebo o świcie, połyskliwe, jak staw o zmierzchu, gorące niby lipcowe południe. W nich kryło się to wszystko, co w tym kostropatym zlepku było najpiękniejsze i najlepsze: ufność oswojonej sarny, tkliwość krowy liżącej dymiące jeszcze ciepłem jej łona cielę, wesołość młodej wdówki, wiodącej złowionego męża na ślubne łoże.

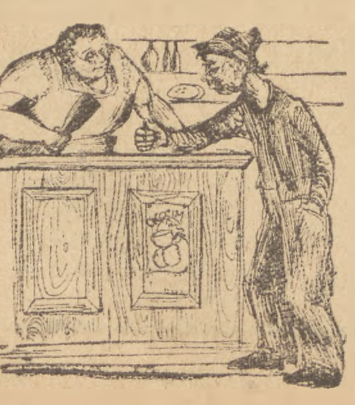

Był bowiem ten wspaniały rudzielec idealnym zaprzeczeniem pokutującej w narodzie opinii, że ludzie o złotych włosach muszą mieć obowiązkowo niejako czarne charaktery. A może był to tylko wyjątek — taki rudy z innej gliny niż wszyscy? Tym okazalszy, że jedyny? Być może! Tym bardziej, że u Kubusia wszystko układało się na opak.

—::o::—

— Cztery cele wyfasowałem przy urodzeniu — mawiał Kubuś śmiejąc się jakoś bezgłośnie, samymi tylko oczami: — chwalić Boga, bogacić karczmarzy, tępić alkohol i martwić proboszczów.

Trzeba, oddając Kubusiowi sprawiedliwość, stwierdzić to od razu, że wszystkie realizował dosyć wiernie, ale najidealniej trzy ostatnie. Co do pierwszego bowiem, to ludzie mieli tyle zastrzeżeń, że właściwie nie wiadomo jak ta sprawa naprawdę wyglądała. Faktem było, co istotnie stwarzać mogło pozory najbardziej dla Kubusia niekorzystne, że po rannej godzinie nabożeństwa całą resztę dnia, aż do późnej nocy poświęcał karczmie, wódce i troskom proboszcza. Mawiano więc — wątpiąc czy tamta godzina przy organach jest dostateczną rekompensatą za szesnaście innych złożonych na ołtarzu Bachusa — że gdyby Miłosierny nie był aż tak cierpliwym i zechciał zastosować znane przysłowie „Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie“ nasz Kubuś nie miałby się z czego śmiać.

A zresztą któż wie? Oczy Boga są tak przenikliwe, jak instynkt dzięcioła: w zdrowym na oko drzewie tamten wyczuje robactwo, w chorej pozornie duszy Bóg dopatrzy się skarbu bardziej błyszczącego, niż diament. I kto wie, czy właśnie pijaństwo Kubusia nie było milsze Panu niż obłudne modlitwy nieludzkich bogaczów, robaczywe, jak porzucony grzyb, szeleszczące niczym nie zapisany papier...

—::o::—

Siadywał Kubuś jaki rok długi i szeroki w karczmie, tuż przy bufecie, obok kasy, gdzie najłatwiej się było komuś przypomnieć. Okazji zaś nigdy nie brakło. Tym bardziej, że Kubuś niesłychanie wymowny i spryciarz jeśli o sprawy kieliszkowe chodziło — jakich mało — umiał dopukać się do najtwardszego serca, do najmocnicj obwarowanego umiłowaniem portfelu.

— Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam — kruszył opornych, którzy uporczywie udawali, że nie mogą sobie przypomnieć o co Kubusiowi chodzi — jeśli chcecie zbawić dusze swoje spełnijcie miłosierny uczynek. Albowiem, jak mówi Pismo Swięte: Et kum spiritus tuo — czyli że sam Bóg nakazuje spragnionego napoić. — Oblizywał się zaś przy tym tak dobitnie, że i sam ślepy nie miałby wątpliwości o jakie to miłosierdzie i o jaką łacinę Kubusiowi w tej chwili chodzi.

Toteż rzadko kiedy zdarzyło się, aby któryś z przyszłych kandydatów na obywateli Królestwa Niebieskiego odmówił.

— Karczmarko — wołali sięgając w kieszeń — dajcież tej psikrwi półkwaterek — gotów mi hycel jeden przepustki do nieba nie podpisać.

Kubuś lubiany był zresztą ogólnie i wszyscy bez większych boleści godzili się z tym nadzwyczajnym podatkiem na organistowską otchłań, rozumiejąc przezornie, że z osobą, która codziennie niebieskim językiem z Panem Bogiem przegaduje — lepiej nie zadzierać. Jeden Talaga dla Kubusiowych „zaprawdę“ i „albowiem“ nie miał najmniejszego uznania i gdy się raz spotkali w karczmie zrąbał go z miejsca:

— Ty mi tu dziadu o zbawieniu nie pierdaś, boś nie kanonik, a karczma nie kościół. Jeśli zaś masz ochotę żebrać to siądź pod klasztorem, nie w szynku...

Na wzmiankę o żebraniu Kubuś zwykle flegmatyk i cicha woda zbladł, aż piegi nabrały jakiegoś fioletowego połysku, wstał z gębą wykrzywioną potwornym grymasem, podobnym więcej do płaczu niż złości, i wyrzucając patykowate ręce o dłoniach wyzłoconych całymi kępami rudziutkich ćwieczków, krzyknął wznosząc oczy ku niebu:

— Panie, który obiecałeś bogaczów z torbą puścić i nędznie rozprószyć, z[illegible] że to nareszcie, [illegible] co rychlej, a zacznij właśnie od obecnego tu kata wszelkiej biedoty — Talagi. Tylko nie baw się z tym, ścierwem w ceregiele, ale wyłuskaj go z wszelkich majętności i połóż jak Joba okrytego wrzodami na kupie gnoju, aby zgnił w parchach i nędzy!

A potem żegnając się szeroko szeptał tajemnicze łacińskie zaklęcia, aż zgroza, jak dym się rozciągając skroś kwaśnej woni szynku szczypać zaczęła pijacką brać dreszczami zabobonnego lęku, jeszcze mocniej gruntując pijacki prestiż Kubusia.

Tego momentu Kubuś nigdy, choćby w najbardziej zachlapanej kondycji nie zapomniał, przestając raz na zawsze łudzić się możliwością zdobycia ze strony bogacza czegokolwiek poza grubiaństwem. Serce Kubusia nie znające właściwie nienawiści, wciąż się cieszące życiem, ciągle rozkochane w słońcu, drzewinie, człowieku i zwierzęciu, za wszystko wdzięczne, o nic nie proszące, radosne, uśmiechnięte, czułe i czyste — to serce wzdrygało się jak na widok rozdeptanej żaby, ilekroć przyszło organiście zetknąć się z Talagą.

Nawet w kościele. Właśnie w kościele najbardziej. Tu bowiem, antypatia Kubusia, poczęta w momencie tamtego zajścia, urosła pewnej niedzieli do rozmiarów nigdy jeszcze u Kubusia nie zaszłych, przybierając charakter zasadniczy, oficjalny, coraz żywszy i mocniejszy.

Było to w czasie uroczystej sumy. Kubuś, odśpiewawszy z proboszczem przy ołtarzu przypadające na ten dzień hymny, przepychał się poprzez ciżbę ku chórowi. Idąc obok kolatorskiej ławy, w której siedział rozdęty pobożną pychą Talaga, usłyszał jego „modlitwę“, którą sławny skąp miał zwyczaj wyłgiwać się z obowiązków względem biednych.

— Panie — klepał dostojnie, mocno akcentując słowa i patrząc w ołtarz z jakąś kumoterską poufałością, — który wszystko masz i wszystko możesz, miej w opiece biednych ludzi, obdarzaj ich siłą, zdrowiem i dobrą wolą: niech się modlą dla Ciebie, a pracują dla nas — abyśmy długo żyli i dobrze nam się powodziło...

— Ach żłób przeklęty — rozzłościł się Kubuś i zwykle pogodną jego twarz zakopcił nagły grymas ciężkiego obrzydzenia. — Naciąga Pana Boga, aby wspomagał biednych, a sam łupi z nich siódmą skórę... Bydlę!

I naraz naszła go straszna ochota pokazać obłudnikowi język. Już zgięte impulsem szczęki rozwierały się i język zaświerzbiał niepokojąco, opamiętał się przecież i odszedł. Ale humoru już nie odzyskał. I tej to właśnie sumy w gwałtownych preludiach zbuntowanego organisty usłyszał doliński kościół po raz pierwszy w swej historii gniewny głos budzącego się biedaka.

Innym znów razem, w czasie zbiórki w dniu trzeciego maja, podszedł Kubuś ku Taladze i zapominając dyplomatycznie wszelkich uraz uśmiechnął się mile, potrząsając puszką:

— Na oświatę panie Talaga, na oświatę!

— Nie mam drobnych — odmówił butnie bogacz, mierząc Kubusia wzrokiem ogara, który patrzy na poszczekującego obok psinę. — A zresztą ja już dawno jestem oświecony.

Wtedy Kubuś zdjął kapelusz i kłaniając się do samej ziemi odpalił:

— Sługa uniżony Jaśnie Oświeconego!

Odtąd ile razy spotkał skąpca, wciąż ponawiał tamten ukłon i owe słowa, co, zwłaszcza gdy działo się w szerszym towarzystwie doprowadzało po swojemu ambitnego kmiecia do białej pasji.

—::o::—

Oprócz pijaństwa i anielskiej dobrotliwości słynął Kubuś z wysokich zdolności krasomówczych, o których mówiono, że z łatwością zapędzić by mogły w kozi róg niejednego oficjalnego kaznodzieję, gdyby źródłem, z którego czerpały natchnienie i stopień rozwoju nie musiał być kieliszek. Zapraszany w szerokim kręgu parafii na wszelkie wesela, zabawy i chrzciny, a najczęściej ze swej trybuny przy karczemnym bufecie olśniewał słuchaczy bujnym potokiem swej łatwej, kwiecistej choć nie zawsze sensownej gadaniny. Szło mu to tym gładziej i udawało się tym doskonalej, im bardziej zalane było jego otoczenie i on sam. W kazaniowej formie, przy pomocy ewangelicznych zwrotów i pokręconej jak własne nogi łaciny preparował zleżałe świątobliwości mocno wulgarnym sosem organistowskiej filozofii, obrabiając z pasją i talentem ludzkie ułomności, a przede wszystkim bogaczów, zdobywając się pierwszy w Dolinie na odwagę publicznego formułowania klasowych prawd.

— Ukochani parafianie — mawiał po którymś tam kieliszku — Patres, fratres und dames — drogie w Chrystusie owieczki i barany, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że nie będzie miał Pan litości nad tymi, którzy jej nie okażą bliźnim swoim. Drżyjcie więc, albowiem nie wiecie dnia, ani godziny...

Było to jakby intermezzo, z wyraźnie określonym celem. Po takim wstępie milczał chwilę i toczył groźnie błyszczącymi podnieceniem oczyma, oczekując skutku. Skutkiem był kieliszek skwapliwie podsuwany, po którego wypiciu grzmiał dalej.

— Drżyjcie plugawcy zakochani w grzesznych miejscowościach babskiej geografii. Drżyjcie gnojarze, dla których pasemko miedzy ważniejsze jest niż droga ku Bogu, którzy sznurkami skib związali dusze swoje z marnościami doczesności. Ale przede wszystkim drżyjcie — tu podnosił głos i zwracał się do tłustej karczmarki — szynkarze i bogacze, którzy w miejscu serc i sumień wory bezdenne nosicie, dla których Bogiem jest pieniądz, a modlitwą krzywda i wyzysk. Drżyjcie, albowiem znienawidzeni jesteście przez ubogich, albowiem przeklęci jesteście przez Pana i straszliwemu ulegniecie sądowi...

— Zamknij pysk — oburzała się Chlapica czerwieniejąc gwałtownie — pijacka mordo i pilnuj lepiej swej zasranej duszy, bo ci zgnije w wódzie jak padlina w gnojówce...

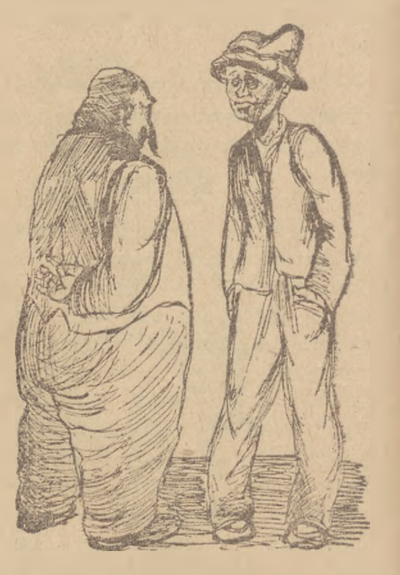

— Milcz furo gnoju! — odpowiadał z godnością Kubuś, nie patrząc nawet w jej stronę. — Milcz składzie łajna! Milcz tapczanie Belzebuba! Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, że od stu morderców, gwałcicieli i krzywoprzysiężców gorszą jesteś ty i straszliwiej cię Bóg ukarze... Już widzę — wołał z emfazą wznosząc oczy ku niebu, które w tej chwili imitował sufit ukryty w kłębach dymu jak w chmurach — już widzę oczyma mej duszy, jak toniesz przez wieczność całą w płonącym bajorze wódki...

— Stul mordę piegowata małpo — wrzeszczała sina z irytacji Chlapica, otrząsając się mimo woli, jak pies, który przed chwilą wyskoczył z zimnej wody. — Zamknij paszczę pokręcony wypierdku, bo ci ślepia wydrapię... — I rzucając potężnym cielskiem z rzadko spotykaną u niej lekkością sypała obelgami tak wyrafinowanie skonstruowanymi, że wyglądały na jakiś bardzo wysokiej klasy poemat wściekłości i furii.

Skutek ich bywał przecież zgoła inny niżby normalnie sądzić wypadało. Oto cieszyły one Kubusia niemniej niż postawiona świeżo ćwiartka. Był w takich momentach pewnego rodzaju sadystą: patrząc na pieniącą się babę półprzymkniętymi oczami znajdywał jakąś wyjątkową przyjemność w jej ochrypłym bełkocie, w szkarłatno-sinych kolorach twarzy, w ognistych błyskach ginących w zwałach tłuszczu oczek. Przedłużał te stany takie świadomie i z premedytacją, podsycając złość tamtej swym spokojnym i miłym uśmiechem oraz trafnie dobieranymi docinkami.

— Patrzcie chłopcy — mówił niby cicho, ale w sam raz na tyle głośno, aby karczmarka słyszeć mogła — jak to naszą Chlapicę krzywda ludzka rozdęła. Ino patrzeć a pęknie. Spójrzcie na jej piękną dupobuzię — ile to czyjegoś trudu i zmartwienia musiało się złożyć na te dwadzieścia pięć kilo smalcu... Spójrzcie na jej bandzioch — rozległy jak wagon, to prawda, ale nie do wiary, aby się w nim zmieściły te wszystkie morgi, konie, krowy i świnie, które dobrzy ludzie w tym budzisku przehuśtali.

Tamta zaś buchała lawą wyzwisk, niby wulkan. A gdy zachrypła i opadła z sił, waląc na ladę potężny biust i dysząc ciężko aż cały kontuar dygotał i skrzypiał jak żywy, Kubuś dawał jej chwilę wytchnienia i znów podrywał grube cielsko do [illegible]go ataku dalszymi, wycelowanymi w najczulsze miejsca uderzeniami.

— Chłopcy — mówił — zauważyliście chyba, że ostatnio coś ta nasza karczmarka jakoś mocno ziemią przypadła... Zdaje się, że już jej niedługo. Szkoda by jej było, albowiem nikt nie potrafiłby już tak po mistrzowsku fałszować wódkę i rachunki, ale trudno — coś mi się wydaje, że ino ino a trafi ją szlag, uwalniając ziemię, która i tak za dużo wszelkiego plugastwa nosi, [illegible] jeszcze ośmiornicy... Nawet sen miałam taki paskudny...

— Nooo — słuchacze przysuwali się bliżej, zapominając, że nalana wódka szkłem przejdzie i wywietrzeje.

— Tak — smutno wyjaśniał Kubuś — śniło mi się, że z karafki stojącej na katafalku piliśmy z proboszczem jakąś raz nareszcie solidną wódzię, którą podawała nam Chlapica. I naraz wypadło nam obydwom po dwa zęby, z samego przodku...

— Oooo — stęknęli chórem — już po niej... Rychtujmy się bracia na pogrzeb. — I jakby już widzieli tamtą na marach, obmacywali ją spojrzeniami pełnymi szczerego żalu. Albowiem wierzyli starym prawdom, że wszystko na świecie może zawieść, ale sen o wypadniętych zębach nigdy. Taki sen oznaczał zawsze i wszędzie jedno — śmierć.

— Tylko — znęcał się dalej Kubuś patrząc lśniącymi oczyma na podrygującą w przypływie nowej furii bryłę — jakim to cudem będzie odtentegować na cmentarz... Wozu przecież w całej Dolinie nie ma na tyle cierpliwego, żeby pod tą górą nie wściekł... Chyba, że się to rozparceluje. No tak — dumał głośno i jakby całkiem poważnie — innego wyjścia nie ma. Porąbać trza w drebiezgi i basta.

Nim jednak zdążył porozmieszczać do ostatniego bujne kształty karczmarki wylatywał za drzwi lub właził pod stół, zależy od czego w danym stopniu opilstwa był zdolny, gdyż doprowadzona do ostateczności Chlapica rznęła weń co miała w ręce. Czasem nawet nie biła, ale zwyczajem wiejskich bab odwracała się raptem, pochylała korpus, wyrzucała sukienki na plecy i pokazując obachutany flanelami zad wrzeszczała, dławiąc się, słowami:

— Tu cię mam, dziadu przeklęty, tu!!!

Wyglądało to wprawdzie mniej groźnie, ale za to grubo taniej. Zaś efekt końcowy, mimo, że nie równy tamtemu, choćby ze względu na flanelową kurtynę, miał przecież ten plus, że nie wypędzał z sali klientów, którzy używszy sobie potężnym hahaniem — tym chętniej opróżniali portfele, fundując ćwiartkę za ćwiartką.

—::o::—

Kubusia znano szeroko i daleko. Nawet szerzej i dalej niż sięgały granice parafii. Wiedziano o nim to, co komu potrzebne lub wygodne było: bogacze, że to niebezpieczna bo podatna na komunizm i wszelkie radykalizmy łajza, średniacy, że pijus, od którego nie opędzi się inaczej jak ćwiartką, a biedacy, że chłop na sto dwa, u którego jednak łatwiej o najserdeczniejszy uśmiech i najmilsze słowo niż o podartą złotówkę. Każdą bowiem, ledwie zdobytą, a nawet widok jej zarobienia lokował skrzętnie w karczmie, którą, parafrazując popularną P.K.O. — nazywał Przepadłą Kasą Organisty. Były to jednak rzadkie wypadki, albowiem Kubuś nigdy od ludzi biednych za żadną z obowiązujących go sług grosza jednego nie przyjął. Zaś bogacze, jak na złość cieszyli się byczym zdrowiem i żyli długo, nie mając prawdopodobnie najmniejszej ochoty sprawiać swym pogrzebem Kubusiowi przyjemności oraz przyczyniać się do poratowania kiepskich finansów nielubianego organisty.

Największą przecież sympatią i popularnością cieszył się Kubuś w sferach okolicznego żebractwa. Pochodziło to stąd, że gdzie jak gdzie, ale u organisty każdy włóczęga, dziad i kaleka mógł zanocować, spocząć, a nawet odchorować się o każdej porze dnia i nocy. Ten nie odmówił nigdy. Choć Bogiem a prawdą najczęściej nikt się go o to nie pytał. Potrzebujący właził do nigdy nie zamykanej organistówki i rozgaszczał się jak mógł, nie czekając na zezwolenie właściciela, którego zresztą nigdy wieczorem w domu nie było. Z czasem stosunki w Dolinie tak się ułożyły, że włóczęgę czy żebraka, który prosił o nocleg, odprawiano w każdym domu jednym słowem: do organisty. Rychło też organistówka zyskała miano dziadowskiego hotelu.

Istotnie. zresztą wyglądało na to, Obskurna buda, z wiecznie dziurawym dachem, od lat nie bielona i nie remontowana — jak ulał pasowała do postrzępionej postaci Kubusia i jego przygodnych sublokatorów. Tych zaś miał Kubuś ciągle nie mało i różnych. Bo oprócz wszelkiej włóczącej się, żebrzącej i kradnącej biedoty, gościły tu bezpańskie psy i bezdomne koty. Zwłaszcza zimą, gdy było tu nieco cieplej, a przynajmniej ciszej niż na dworze, złaziły się na organistówkę wszelkie łaknące domu stworzenia, jak do Arki Noego.

Pewnej nocy zastał w łóżku odzianą w łachmany kobietę, w której poznał plączącą się w okolicy bejdulę-niemowę. Leżała z szeroko rozrzuconymi nogami, porykując jak zwierzę i skręcana bólem darła na wzdętym brzuchu resztki szmat. Kubuś wytrzeźwiał w sekundzie i zorientowawszy się w sytuacji pognał ile sił w nogach po akuszerkę. W nagrodę spał przez tydzień na podłodze i został ojcem chrzestnym jeszcze jednego nędzarza — syna bezdomnej bejduli i nieznanego łotra.

Niejeden to zresztą raz wracając Kubuś późno w noc zastawał łóżko zajęte przez jakiegoś wybredniejszego włóczykija. Kładł się tedy, mrucząc jak wypędzony z barłogu niedźwiedź, na podłodze, nie rozbierając się wcale od czasu, gdy mu któryś z mniej wdzięcznych gości buchnął zapasowe spodnie i ostatnią parę bielizny.

Oprócz tych drobnych na ogół przykrości spotykały Kubusia ze strony wszelkiej biedoty liczne dowody serdecznej wdzięczności, utwierdzając go w przekonaniu, że jednak warto być dobrym, choćby za cenę ostatniej pary spodni i choćby się nie miało nic więcej ponad dziurawą kieszeń i dziurawy dach nad dziurawym kapeluszem.

—::o::—

Pijaństwo organisty, aczkolwiek notoryczne, nie było przecież upadkiem do kresu. Pił bowiem Kubuś nie na zabój, ale z taktem i umiarem, uroczyście, chciałoby się powiedzieć, delektując się raczej smakiem niż ilością, oraz faktem przebywania w kręgu umiłowanej atmosfery i bezpośrednim kontaktem z ukochanym obiektem. Ukochanym do tego stopnia, że nawet w dymie kościelnych kadzideł tęsknił Kubuś za cierpko kwaśnym aromatem karczemnej izby, za gwarem oplecionym w dymy i przemieszanym z urzekającym brzękiem szkła, za pienistym ciurkotem spadającego do kufli piwa. A gdy stuknął nareszcie przed nim na marmurowej płycie stolika kieliszek z płynem tak czystym, jak szkło — rozpalały się Kubusiowi oczy blaskiem przedziwnej radości, płonąc niby spojrzenie skąpca w obliczu stosu złota. Nie spieszył się też nigdy z samym piciem, długo patrząc w kieliszek oczyma kota, który złowioną mysz potrzymuje wysuniętymi przed siebie łapkami i mrużąc z lubością ślepia rozkoszuje się świadomością oczekującej go uczty.

Tyle tylko, że chlał bezustannie, uważając picie za funkcję równie ważną jak jedzenie. Ba, za coś nieporównanie wyższego niż chleb sam, skoro dla nałogu poświęcił wszystko co miał, łącznie z tym, co w normalnych warunkach ludzie uparli się nazywać rodzinnym szczęściem. Bo gdy pytano kiedyś Kubusia dlaczego się nie ożenił, odpowiedział słowami, które brzmiały jak żart, a były najszczerszą prawdą.

— Po pierwsze, że wątpić należy, czy żona i dzieci mogłyby jak ja wyżyć wódką, bo na chleb już by nam z pewnością nie wystarczyło, po drugie, że gdy ja piję, to jest mi z tym lepiej niż dobrze, czego nie powiedziałyby na pewno żona i dzieci, po trzecie, że nie godzi się być pijakowi ojcem, po czwarte i ostatnie, że nie należy do przyjemności być mężem, któremu wypada co noc wracać zachlapanym i toczyć boje z własną małżonką.

— Mam zresztą — kończył uśmiechając się szelmowsko — swojego proboszcza, który, jeśli o wódkę chodzi, użera się ze mną równie dzielnie jak najtroskliwsza z żon.

Było to niewątpliwie prawdą. Kubuś lubiany ogólnie na jednej plebanii zachwytu nie budził. Proboszcz choć stary ale porywczy jak nurt Popradu, nad którego brzegami się urodził, a przy tym żarliwy wróg wódki i pijaków, oklinał Kubusia i zaklinał niemal co dnia, za punkt honoru sobie uważając, aby swego oficjała na drogi trzeźwości przyprowadzić. Bezskutecznie jednak. W ciągu paru lat zaciętej ofensywy na tę twierdzę nałogu wszelkie zachody, próby i argumenty okazały się przysłowiowym grochem o ścianę. Nie pomagało nic. Ani groźby, w których każde słowo zdawało się płonąć garścią piekielnego żaru, ani żarliwe nauki, w ogniu których łamali się najzatwardzialsi grzesznicy, ani prośby, do których uciekał się wreszcie proboszcz, sądząc, że mniej go one kompromitują niż fakt, że jego „zapiewajło" i prawa ręka ma sławę najtęższego w okolicy moczymordy. Wszystko zawiodło. Kubuś trwał przy swoim twardy jak beton, okazując wciąż beznadziejną ignorancję na wszystko, cokolwiek zostało mu w tej materii zakomunikowane. A gdy ksiądz nacierał nań coraz bardziej, ukazując w perspektywie wieczności straszliwą czeluść, w której suszyć się będzie zgniła w wódzie dusza Kubusia — ten uśmiechając się najniewinniej w świecie odpowiadał:

— Proboszczuniu kochany, moja dusza już tak przesiąkła spirytusem, że skoro tylko zetknie się z siarką spłonie jak wiecheć i śladu nawet po niej nie zostanie...

Na takie dictum krewki ksiądz najchętniej byłby grzmotnął Kubusia w kudłatą pałę. Hamował się przecież całą siłą woli i odchodził szybko, aby zagasić dźwigający się gniew mocą brewiarza.

Ale bywały rzeczy gorsze. Oto wyobraźcie sobie sytuację proboszcza, gdy stojąc przy ołtarzu i mając w największym skupieniu oddawać Bogu chwałę — musiał bezustannie uważać, aby nie zgrzytnąć zębami i zamiast „Orate frates" nie powiedzieć pod adresem Kubusia „O zbóju przeklęty" lub jeszcze gorzej. Bywało to w momentach, gdy Kubuś wybitniej zagazowany rznął np. w czasie żałobnej mszy jakieś oszalałe preludia kompozycji własnej, w których aż nazbyt wyraźnie dźwięczały frywolne melodie piosenek wsiowych, jakich się nasłuchał w czasie ostatniej pijatyki.

Tak, to były najcięższe chwile w życiu proboszcza. Tym cięższe jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że podczas takiej muzyczki kościół doliński o mało nie zamieniał się... w salę balową. Bowiem ludzie, porwani rytmem bliskich sercu motywów, zaprzestawali modłów i dźwigając rozjaśnione uśmiechem twarze ku chórowi przytupywali do taktu, aż w kościele dudniało.

Nie dziwota więc, że biedny proboszcz oblany siódmym potem, modlił się nie tyle w intencji mszalnej, ile o łaskę wytrwania wobec tak jawnej prowokacji, lub dygocąc wewnętrznie przysięgał organiście srogą zemstę. Mrugał przy tym domyślnie na kościelnego, który pędził na chór i bolesnymi kuksańcami sprowadzał Kubusia z wyżyn bluźnierczej wirtuozji na właściwe, choć nigdy niezbyt poważne tematy.

Innymi razy, gdy wychodził na chór trzeźwy, a gorzej jeszcze, po dłuższym poście grał tak podle, że znów nieszczęśliwy proboszcz prosił Boga, aby go na tę chwilę pozbawił słuchu. Wreszcie nie bardzo wierząc, że może ręczyć za siebie, gdy widział, że organista z takich czy innych powodów jest „na czczo" — dawał mu przed mszą półlitrowy garnuszek wina.

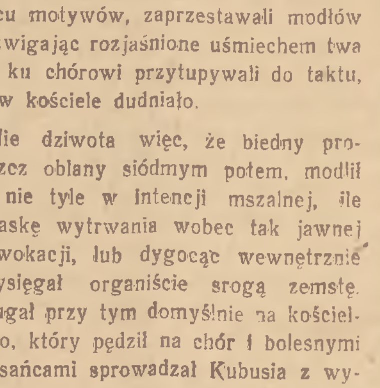

— Wino — mawiał tedy Kubuś krzywiąc się jak kot, który zamiast myszy upolował żabę — napój kościelny, dobry dla młodych organistów i starych bab. Ale od biedy dziad — jajecznicę jadł...

I koniec końcem grał już wcale znośnie, nie urągając proboszczowym uszom i bożej chwale. Chociaż kto to może wiedzieć, co uszom Boga milsze: nudne, zimne i nieudolne sylabizowanie nutowych znaczków, choćby one wyrażały dostojne hymny mistrza Bacha, czy też pełna ognistej werwy improwizacja prostego i gorącego serca biedaczyny. Sam Kubuś miał na te sprawy ustalony pogląd — opędzając się proboszczowym atakom twierdzeniem, że Boga należy chwalić własnymi ustami.

Rad nie rad musiał proboszcz przyznać oryginalnej tezie organisty rację, kapitulując jeszcze raz. Przedostatni. Całkowicie bowiem poddał się Kubusiowi w momencie, gdy stracił nie tylko resztki złudzeń co do możliwości wykierowania organisty na „człowieka", ale i przeświadczenie o potworności jego nałogu.

Stało się to pewnego wieczoru, gdy gwiazdy niespokojne jak serce przyjmującej kochanka mężatki prószyły migotliwym pyłem wątłego blasku, a po stajniach dziewczęta ściskając w gorących kolanach ociężałe mlekiem skopce kończyły wieczorowy udój. Proboszczowi wypadła właśnie gwałtowna potrzeba organisty, wybrał się więc za nim, tam, gdzie wiedział, że go jedynie zastać może — do karczmy. Nim wszedł spojrzał oknem, aby się upewnić. czy ten, którego szuka jest. Był. Siedział otoczony tłumem pijaków. Gestykulując gwałtownie, niby rzucany atakiem epileptyk, grzmiał na grzeszników, roztaczając z talentem zawodowego misjonarza obraz piekielnych mąk, wieńczących pogoń za ziemskim szczęściem. Chłopi zagazowani już coś nie coś słuchali świątobliwych wywodów z żarliwą tkliwością, tak znamienną dla pijaków — wycierając łzawiące się skruchą oczy i siąkając głośno. Przed nimi stały nietknięte kieliszki, a Chlapica, zła jak tygrys, kręciła się poza ladą, łypiąc iskrzącymi się nienawiścią oczyma na psującego jej interes kaznodzieję.

— Boże — szepnął wzruszony proboszcz — jakiż Ty jesteś przeogromnie mądry. Nawet na dno posyłasz kogoś, kto by Imię Twoje głosząc pomniejszał wagę zła...

—::o::—

Z mnóstwa najbardziej sprzecznych opinii, jakie o Kubusiu krążyły w Dolinie i okolicy, ta jedna była najbliższą prawdą — że Kubuś głupcem nie był. Posiadał był w wysokim stopniu ową spokojną mądrość, jaką daje oderwanie się od żądzy bogactwa, posiadania i użycia. Nie opętany magią własności mógł patrzeć w życie dookolne okiem swobodnym a czujnym zarazem jak soczewka mikroskopu. Pozwalało mu to dostrzegać właściwe kształty zjawisk społeczno-gospodarczych, odkrywać źródła zła i odnajdywać nici ciągnące się między przyczyną a skutkiem.

Sam syn nędzarza kościelnego z sąsiedniej parafii, rychło dostrzegł ową tak pilnie w tamtych czasach zamazywaną prawdę, że nie ma w kapitalistycznym ustroju takiej drogi, na której by wszyscy byli sobie równi. Albowiem nawet na tej, która ku kościołom wiodła, jedni ukazywali się z szumem pychy, w chwale błyszczących cholew, spasionych koni, malowanych wózków, dumnych uśmiechów i gęstych min. Drudzy natomiast — słudzy pokory i nędzy, przemykali się chyłkiem, wciąż smutni, ciemni i zastraszeni, z piętnem niedoli w głodnych oczach.

To przeświadczenie, dosyć wcześnie zdobyte, pozwoliło Kubusiowi zorientować się w dialektyce różnic klasowych.

Toteż gdy po wojnie Skrzynka, a później Karaś rozpoczęli w Dolinie działalność po linii PPR — Kubuś ucieszył się mocno.

— Oto — powiedział do kierownika szkoły — zaczyna się melodia, na którą czekałem piętnaście lat.

Następstwem takiego oświadczenia była poufna rozmowa między kierownikiem a proboszczem, w której padły z ust kierownika takie słowa:

— Proboszczu, miejcie się na postroży. Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli Kubuś nie jest zamaskowanym komunistą...

Mylił się kierownik. Kubuś komunistą nie był. Ani jawnym, ani zamaskowanym. Był tylko zdrowo i odważnie myślącym biedakiem, typem jednym z wielu zaistniałych w Polsce po wojnie, który jakoś bez szwanku dla ducha godził szczere uznanie dla komunizmu jako siły regulującej stosunki gospodarcze i społeczne z postawą żarliwego katolika. Postawą, dodać należy, równie oryginalną jak i on cały — jednych oburzającą, drugich zadziwiającą, trzecich zachwycającą.

Ksiądz milknął zgnębiony niemożliwością znalezienia argumentów dostatecznie mocnych, aby zdolne były w tej rudej pale poustawiać dziwacznie rozrzucone poglądy na właściwe według jego mniemania miejsca. I jeżeli dawniej biedne proboszczysko martwiło się tylko samym faktem Kubusiowego pijaństwa, to teraz bardziej jeszcze przychodziło mu niepokoić się owymi dziwnymi powiedzeniami, o barwie istotnie grubo odbiegającej od ustalonych i przyjętych przez większość katolików szablonów pojęciowych.

— Coś się z kudłaczem dzieje niedobrego — mruczał staruszek i trwożył się perspektywą jeszcze jednej „hajby", jaką by mu przeżyć wypadło, gdyby kiedysiejsze słowa kierownika okazały się prawdą.

Tymczasem Kubuś nic sobie nie robiąc z trosk i podejrzeń swego pryncypała buszował dalej, tępiąc po swojemu alkohol, oraz głosząc kazania coraz bardziej czerwone.

— Jestem pewny — prawił Kubuś w gronie karczemnych bywalców, gdy rozmowa zeszła na tematy aktulne — że między katolicyzmem a komunizmem przyjdzie kiedyś do unii i bardzo ścisłej, choć bardzo różnej współpracy.

— Nie wygłupiaj się Kubuś — próbował oponować ktoś mniej schlany, a więcej obity. — Wszystko zrobisz, ale burzy z pogodą i ognia z wodą nie ożenisz.

— Jechałeś koleją? — pytał w odpowiedzi Kubuś. — A gdy zdziwiona mina oponenta aż nadto wyraźnie mówiła, co kolej ma z tym wszystkim wspólnego — tłumaczył:

— Siłą, która pędzi lokomotywę, jest mądre połączenie ognia z wodą. Podobną siłą, która popędzi pociąg historii ku najwyższym możliwościom, będzie właśnie sojusz chrześcijaństwa z komunizmem...

— Ech wieprze — zżymnął się znużony, widząc, że tamci wciąż nie rozumieją lub nie wierzą — nie perły rzucać między was, ale... konserwy.

I odchodził w noc, modlić się do nieba nabitego ćwiekami gwiazd, jak pas zakopiańskiego bacy.

—::o::—

Drogi na przestrzeni od karczmy do organistówki pilnowały cztery figurki: dwie Matki Boskie, św. Józef i św. Piotr. Pilnowały chyba dobrze, zwłaszcza nocą, skoro Kubuś przebywając na tej przestrzeni cztery kładki i liczne zakręty, mimo krzywych nóg i chronicznej nietrzeźwości lądował zawsze w swym porcie szczęśliwie, nie połamawszy — jak mawiał — wioseł ani steru.

(Dokończenie na str. 10-ej).

# * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI *

## Literatura dla najmłodszych

Od czerwca roku 1947, w którym odbył się zjazd poświęcony literaturze dla dzieci, połączony z wystawą międzynarodowej książki dziecięcej — aż do Zjazdu Literatów Polskich w czerwcu b. r. na którym W. Żółkiewska mówiła o zadaniach tej książki — usłyszeli jej twórcy wiele pouczeń, wskazań, cennych prawd i otrzymali wiele dyrektyw.

Wskazania te sformułowane zostały w kilkunastu wszechstronnych referatach zjazdowych w 1947, a potem w ciągu lat trzech na łamach miesięczników i tygodników literackich i pedagogicznych. Referaty drukowane były w Ruchu Pedagogicznym (Rok XXX, Nr 4, 5), artykuły ukazywały się w Twórczości, Odrodzeniu, Kuźnicy, ostatnio w Nowej Kulturze. Najwięcej zasługi miało Odrodzenie wprowadzając dział „Sztuka dla dzieci i młodzieży" i zapraszając do współpracy najwybitniejsze siły, oraz rozbudowując problematykę książki dziecięcej gruntownie i wszechstronnie. Tygodnik Powszechny informował swoich czytelników o pojawiających się książkach, ograniczając się do licznych recenzji.

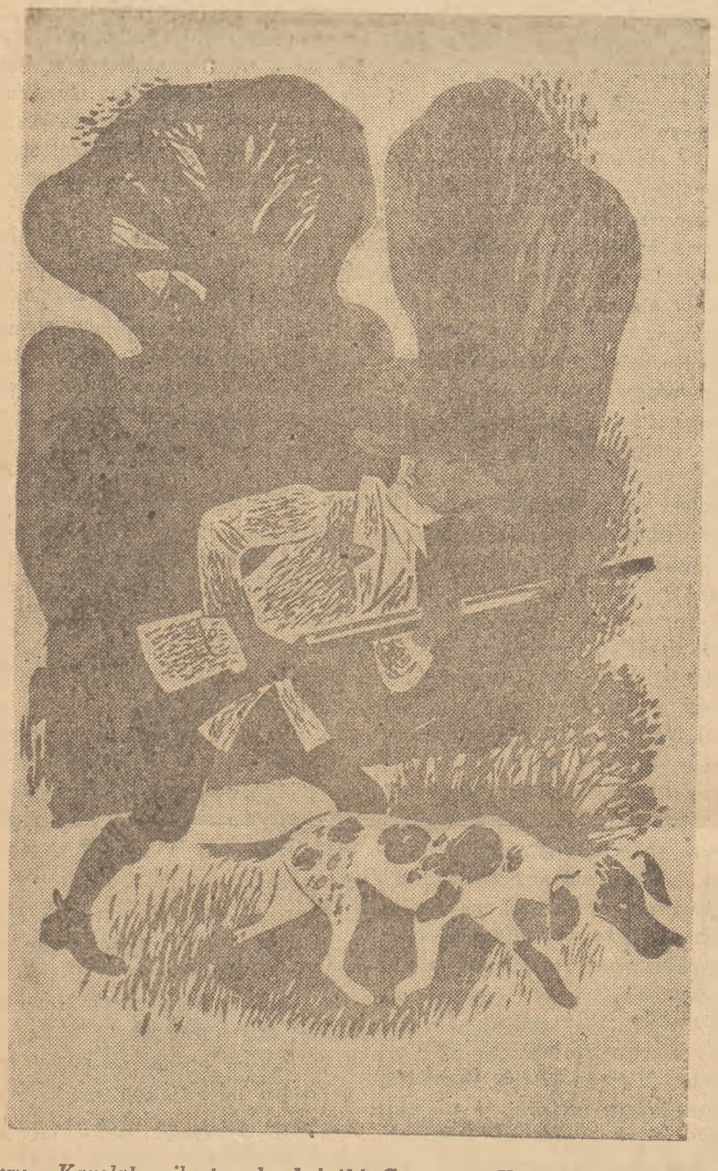

*Jerzy Karolak ilustr. do książki „Czerwony Kapturek" K. Jeżewskiej*

Spośród kilku tez zjazdu przypomnijmy naczelne, które mimo wartkiego nurtu życia naczelnymi pozostały: „Książka dziecięca powinna być dziełem sztuki; książka dziecięca powinna służyć wychowaniu człowieka w duchu aktualnych przemian społecznych, literatura dla dziecka powinna się opierać na znajomości psychiki dziecka."

Po trzech latach można by zbadać jak to było realizowane i co w naszej ciągle zmieniającej się rzeczywistości należałoby postulować nadal.

Spróbujmy w ciasnych ramach tygodnika literackiego powtórzyć w wielkim skrócie to, co nie straciło na aktualności, co jest żywe i dla dobra sprawy potrzebne. Dla wielu będą to może znane sprawy, ale przybywają nam nowe siły i powtarzają się ciągle stare grzechy — to nas więc do tej retrospekcji upoważnia.

### *ZNACZENIE KSIĄŻKI DZIECIĘCEJ*

„Literatura dla dzieci jest zagadnieniem wielkiej doniosłości społecznej, od tego co dziecko czyta zależy dalszy jego stosunek do książki. Książka dziecka toruje drogę do wielkiej poezji i literatury klasycznej. Ci, co tyle uwagi poświęcają zagadnieniom kultury dla mas muszą pamiętać, że masy nie są abstrakcją, ale składają się z ludzi, którzy przechodzą normalne fazy rozwoju od wieku dziecięcego" (J. Brzechwa Odrodzenie Nr 11, 1948).

„Celowa troska o język musi być w pewnych granicach przede wszystkim troską o język dziecka". Te słowa, napisane przez prof. Doroszewskiego, wyjęte są z artykułu zatytułowanego: „Przeciw znęcaniu się nad mową i nad dzieckiem" z kolumny, której nagłówek brzmi: „Krzywda Najmłodszych".

Doświadczone kierowniczki miejskich bibliotek dziecięcych twierdzą: Dzieci wychowane na dobrych i pięknych książkach, jako czytelnicy dojrzali, sięgają po książkę wartościową.

A więc waga zagadnienia: Pierwsza książka kluczem do krainy kultury.

„Książka dla najmłodszych jest podstawą samodzielnego czytania w pierwszym okresie zdobywania sztuki i techniki czytania" (p. Arnoldowa — Ruch Pedagogiczny Nr 4, 1947).

„Już w okresie 2 — 3 roku życia zjawiają się sądy estetyczne wywołane obrazkiem i reakcje uczuciowe na treść obrazka: zachwyt, radość, strach. Próby wyjęcia, wydrapania rączką kolorowych kształtów pozostają bezowocne, ale za to przychodzi moment olśnienia: te plamy, te kształty, coś oznaczają!

Moment uchwycenia treści ilustracji ma równie doniosłe znaczenie dla rozwoju dziecka, jak pierwsze próby w dziedzinie mowy: i tu i tam zdolność rozumienia symboli staje się prawdziwym „złotym kluczykiem" otwierającym wejście do rozległej krainy kultury.

„Równolegle z zainteresowaniami wizualnymi rozwijają się zainteresowania słowno-muzyczne. Dwu i trzylatki ze zdumiewającą szybkością chwytają nowe słowa, zdania, uczą się na pamięć wierszy i upajają powtarzaniem bez końca. Korzenie tych pierwszych, często bezsensownych pogwarek, wyliczanek, zaklęć magicznych tkwią w tradycji i folklorze"... (H. Juszczakowska Odrodzenie Nr 50, 1949).

Tak więc niedostrzegalnie, ale jak każda rzeczywistość — nieubłaganie — urabia w dziecku książka pojęcia o świecie, ludziach, czynach ludzkich, potęguje poczucie wagi i czaru życia. Nie ogarniemy marzeń, które obudziła, bodźców, które staną się czynami i zaważą na losach bóźnich. Nie mamy jeszcze metod badania, które by nam wykryły siłę jej wpływu, choć szukamy tych metod. Chwytając sygnały ze wspomnień uprzytamniamy sobie dalekosiężność i urok tego wpływu. Wiemy na pewno, że rola książki rośnie, że książka pomaga poznawać Boga, świat, sprawy ludzkie i siebie samego i że wszystko to może także fałszować i paczyć.

Czy umielibyśmy np. zanalizować ile w naszych pojęciach o człowieku— o człowieku dobrym, lub złym, wielkodusznym, lub nędznym tkwi mglistego wspomnienia o macosze, o Kopciuszku, o nieustępliwości rycerzy ze Szklanej Góry, o dzielności Tomcia Paluszka, o potędze Boruty. Baśń uczyła najprostszych prawd w sposób uroczy i niezapomniany. Ułatwiała wielki trud sądu o świecie i ludziach sprawiając ulgę swą prostotą. A potem... Czy nie bywały to wydarzenia? Latarnik, Siłaczka, Placówka, Ludzie stamtąd? Zmieniały widzenie świata, wstrząsały sumieniami. Każda epoka ma takie książki, albo o nich skrycie marzy, albo o nie woła. Siła słowa jest olbrzymia, a my przecież nie wiemy, w kim, kiedy zaczyna się świt tej siły.

I stąd odpowiedzialność za pierwsze teksty i obrazy dane do rąk bezbronnego, a zwłaszcza *ufnego* małego człowieka.

### *ZARZUTY STAWIANE POLSKIEJ KSIĄŻCE DLA NAJMŁODSZYCH*

Książce dziecięcej zarzucano, że jest ckliwa, moralizatorska, pisana niechlujnym językiem (bo dla dzieci), że ma za mało akcji i humoru, że nie ma umiaru w sięganiu po nadzwyczajność i do świata fantazji, że w tematy realistyczne jest uboga, że pozwala sobie być w tej tematyce nierzetelna i dyletancka (bo dla dzieci), że bywa szkodliwa wychowawczo i wreszcie, że bywa źle, a nawet okropnie, przesadnie i w wynaturzony sposób ilustrowana. Satis.

Wszystko to jest prawdą.

Bardzo dużo złych książek dziecięcych usunięto z rynku. Bardzo dużo trudu włożono w nową książkę. Pracę zaczęto planować. Wyleczyliśmy się trochę z ckliwości, sensacyjności, usunęliśmy grozę złych baśni i książkę sztuczną i elitarną. Ale przejrzawszy dorobek nawet roku wydawniczego 1949 i 50-tego przekonamy się, że stare morały przydadzą się jeszcze. Będziemy mówić ciągle o książce małego dziecka.

Większość tych książek ma przeważnie formę wierszowaną. Tematyka ich to świat najbliższy dziecku, i świat dziecięcej wyobraźni. Podobno książka dla dziecka ma być dziełem sztuki i podobno wiersze to forma poetycka. No, nie bądźmy pedantyczni. Być może, że wolno używać formy wierszowanej w celach dydaktycznych, to ułatwia dzieciom i umila przyswojenie tekstu, ożywia cenne ilustracje, ale skorośmy już tyle razy tak gremialnie stawiali książce dziecka postulaty wartości artystycznej, przydałoby się chociaż jakieś minimum przyzwoitości i smaku.

Tymczasem „...rymy są wyciągane za włosy (asonanse też, przyp. autora artykułu), wyrazy doprowadza się do nieprawdopodobnych zdrobnień, aby przybliżyć je fonetycznie do innych nieprawdopodobnie zdrobniałych wyrazów. Wiersze dla dzieci są bardzo często niechlujnie rymowaną paplaniną". (J. Brzechwa — Odrodzenie 1948).

Co gorsza, w latach wydawniczych 1948 — 50 zarzuty te przestały dotyczyć piszących wujciów i piszące paniusie „z towarzystwa", trzeba je już zacząć adresować inaczej. Cieszyliśmy się, że — mówiąc słowami Januszewskiej — jest w dorobku wielkich poezji dużo pozycji odpowiadających tematycznie i emocjonalnie dziecku i że te pozycje automatycznie przesunęły się do lektury dzieci (Mickiewicz, Krasicki, Fredro, Konopnicka). Dorobek prawdziwie poetycki mają współcześni: Porazińska, Januszewska, Tuwim, Zarembina. Mamy tradycję Rogoszówny, Ostrowskiej. Tłumaczymy dla dzieci Czukowskiego, Marszaka, Puszkina. Wszystko to prawda. Dlaczego więc w tej epoce nowej romantyki nawiązując także do istniejących dobrych tradycji w tematyce społecznej nie zawsze nawiązujemy do tradycji piękna i nie walczymy nadal o poziom literacki. Dlaczego musimy ciągle znosić, że autorzy za pozwoleniem znawców i wydawców częstują „dziatwę" „banalnie rymowaną paplaniną"? Leczono nas drwinami z mieszczańskich manier, z rymowanych kazanek dla milusińskich, a teraz z okazji tematów wiążących dziecko ze współczesnością wyprawiamy znów harce i pozwalamy sobie na nieprawdopodobne łatwizny i brzydactwa.

Trochę przykładów — Rok wydania 1949 i 1950-ty...

W książce Elektryczne schody tak „artystycznie" pisze o zwyczajnych schodach Gałczyński „A stopnie schodów są okropne, nieprawdaż ciociu Zofio? A my chodzimy, a te schody stoją i nic nie robią..." Inny temat: traktor. Ponętny jak lokomotywa, która dzięki Tuwimowi i Szancerowi zrobiła załużoną karierę literacką. Traktor to temat po który sięga wielu pisarzy, bo to... i wieś... i maszyna... i problem...

„Co to? Jakto tatku?
Nie z konikiem pług powolny
Nie orania trud mozolny
Tylko traktor tak-to tak-to...

Albo taki wierszyk:

I gromada jednym głosem
Zaśpiewała słowo w słowo
Pieśń rolniczą tęgiej pracy
Pieśń chóralną, traktorową...

Ruch, pracę, aktywność opiewa wierszyk:

„Petronele
Kawe mielą
Ogrodnicy
Drzewka sadzą na ulicy
Jan poprawia płot
A na płocie kot."

...lub:

„Będziemy pracowali rękami
i głową
Zespołowo!..."

„O burakach można różnie" mówi Jeżewska w ostrym artykule w Odrodzeniu (Sztuka dla dzieci i młodzieży Nr 31). Oczywiście: o traktorach, Pafawagu, współdziałaniu, o produkcji cukru, wełny i o ideałach — można „różnie". Konopnicka dosyć dawno napisała śliczną baśń „Jak to ze lnem było", Themerson oczarował nas książką „Pan Tom buduje dom". Brzechwa ciągnąc trochę temat za włosy i okrążając go dość daleko napisał dobrym językiem swoje. Kanato (o planie sześcioletnim), i o spółdzielczości „Opowiadał dzięcioł sowie". Lekko, pomysłowo i poetycznie umie opracować realistyczne i dydaktyczne tematy Krystyna Artyniewicz. Najpoważniejszy dorobek ma na tym polu Szelburg-Zarembina, zwłaszcza dla najmłodszych, ale pisząc dużo dobrych rzeczy nie zawsze dba o poziom literacki utworu i czasem nie chce się wierzyć, że te niedbałe strofki pisała autorka wierszy o tacie robotniku prostym i tych czarownie brzmiących strofek: „Idzie niebo ciemną nocą ma w fartuszku pełno gwiazd".

Podobnie przedstawia się sprawa nonsensu, groteski — choć humor tak jak i jak liryzm jest bezcennym kruszcem dla dziecka i nie powinien być podrabiany. Arnoldowa tak mówiła o tym w referacie zjazdowym: „Mamy w literaturze dla najmłod-

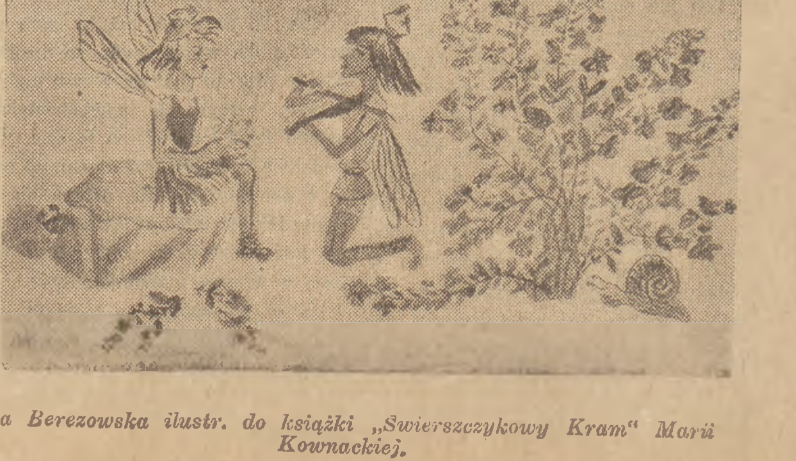

*Maja Berezowska ilustr. do książki „Swierszczykowy Kram" Marii Kownackiej.*

# KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI

szych przerost absurdu i nonsensu, zalew groteski. Absurd rozpanoszył się w książce małego dziecka nie dlatego, żeby pisarze nie rozumieli jak głęboka jest w dziecku potrzeba przekręceń, że ma to głęboki sens psychologiczny i biologiczny, że jest jednym z ćwiczeń w myśleniu i sposobów dziecka utwierdzania się w znajomości życia; ani, że im jaśniejsza jest prawidłowa koordynacja rzeczy, tym silniejsze poczucie humoru wywołuje koordynacja fałszywa. Wszystkie te tezy mało kogo obchodzą. Działa moda, a za nią popyt rynku i łatwizna drogi utorowanej przez prawdziwe talenty.“

Nie wszystko osiągnęło prostotę i wdzięk niebieskiego śnieżku, i humor fruwającej krówki Tuwima:

„Spadł kiedyś w lipcu
Śnieżek niebieski
Szczekały ptaszki
Śpiewały pieski
Fruwały krówki
Nad modrą łąką
Śpiewało z nieba
Zielone słonko...“

## ILUSTRACJA W KSIĄŻCE DLA DZIECI

Nie trzeba być pedagogiem ani psychologiem, żeby widzieć, że ilustracja jest dla dzieci równie ważna jak tekst. Wystarczy wziąć dziecko na kolana i pokazać mu książkę z obrazkami. Według Szumana świat kolorowych obrazków sam przez się jest do bajki podobny. Ale mały realista siedzący na kolanach chce rozumieć obrazek i ma wymagania: „o, tu nie ma nosa, o, sukienka brudna“ mówi na plamę barwną, która wcale nie miała oznaczać brudu.

Kłopot z tym zachłannym odbiorcą! Lubi brzydkie rzeczy, lubi kicze, nie rozumie artystów... Nie podoba mu się tłum nochalowatych opasłych brzydalów, którymi częstują go tak hojnie.

A tutaj mówią nam tak srogo pedagodzy: „Sztukę powinniśmy traktować jako jeden ze środków poważnego stosunku do życia i jego spraw.“

Sprawa jest ważna. Współautorzy współczesnej polskiej książki dziecięcej — graficy włożyli w tę pracę bardzo dużo pietyzmu i... talentu. Naradzano się z wychowawcami psychologami, badano reakcje dzieci na obrazki, badano dziecięce rysunki, zastanawiano się do jakiego stopnia należy uczynić je punktem wyjścia dla własnej pracy. Na zjeździe w 1947 mówił o ilustracji Szuman, Szancer, Bocianowski. W kolumnie Odrodzenia poświęcili tej sprawie doskonałe i ciekawe atrykuły Doroszewska, Szuman, Parnowska, Szancer, Maria Kann. Szukano dróg, formułowano zarzuty, planowano. Plany te zaczynają się realizować, zaczynają się bowiem ukazywać metodycznie obmyślane cykle, opracowywane przez najlepszych polskich grafików według dyrektyw pedagogów. Pierwszym takim cyklem są książki bez tekstów, książki do oglądania.

Sprawa ilustracji książki dziecięcej, sprawa jej osiągnięć, prób, wahań i sukcesów wymaga oddzielnego omówienia, zbyt jest bowiem obszerna. Krytykiem grafika współautora musi być specjalista. Pokaźny dorobek pracy najlepszych naszych plastyków zasługuje na wyczerpujące i fachowe omówienie.

## NOWE KSIĄŻKI DLA MŁODSZYCH DZIECI

Bardzo udaną książką są „Trzy Brudasy“ Anny Świrszczyńskiej (wyd. Mortkowicza). Udane są wiersze i udane są rysunki F. Themerson. Te wiersze-żarciki mają wdzięk poetycki, dobrą kompozycję, lekką i niebanalną formę i element nieoceniony: wesołość. Czupiradełko, Słoń Katarek, mogą się stać ulubieńcami wyobraźni dzieci jak Plastuś Kownackiej. W Trzech Brudasach autorka zachęca dzieci do schludności w najmilszy sposób. Książka, choć skromna jest bardzo artystyczna. W cyklu tanich 30 złotowych zeszycików pod hasłem „Od książeczki do biblioteczki“ (Nasza Księgarnia), przeznaczonym właściwie już do samodzielnego czytania — ukazała się łatwa baśń J. Porazińskiej „O Babulce“. Napisana ładnym językiem, dobrze zilustrowana przez Maciąga (a taka tania!) ma wszystkie zalety pióra Porazińskiej: żywość, zwięzłość, swojskość.

Wydawnictwo M. Kota w Krakowie wydało starannie kilka barwnych, pięknie ilustrowanych książek dziecięcych. K. Jeżewska opracowała cykl najpopularniejszych baśni.

Żaden słynny utwór literatury światowej nie może się poszczycić popularnością jaką długie lata miały baśnie o Kopciuszku, Śpiącej Królewnie, czy Kocie w butach. Pełna zmyśleń i nieprawdy baśń mówiła uroczo o jakichś najprostszych prawdach, o najmocniejszych ludzkich uczuciach.

Jeżewska opracowała kilka takich baśni w formie wierszowanej. „Czerwony Kapturek“ napisany jest najłatwiej odpowiednio dla młodszych dzieci. „Kopciuszek“ ma walory poetyckie. Język tej baśni piękny, balladowy, melodyjny, obrazowanie pełne baśniowej prostoty. Wiersz bardzo rytmiczny, ale o rytmie różnorodnym więc całość nie brzmi monotonnie. Jeżewska podobnie jak autorzy radzieccy nie aktualizuje baśni. Wysnuwa tylko czasem jak gdyby na wierzch złotą nić jaką każda baśń zawiera.

Książki te będą się też podobać czytelnikowi wiejskiemu. W Śpiącej Królewnie strofa jest trochę trudniejsza, a ilustracja nie wiąże się z tekstem baśni dostatecznie ściśle. Książki są pięknie i bogato ilustrowane przez Karolaka i Różańską. Ilustracje te powinny być przez badających reakcje dzieci ocenione i rozważone.

„Maciusiowa fujarka“ Jeżewskiej il. Czajkowskiej (wyd. Kota) i „O Kacperku warszawiaku“ Jeżewskiej (il. Hiszpańskiej) to dwie łatwe książki dla młodszych dzieci o aktualnej tematyce wsi i miasta.

## NOWE KSIĄŻKI TŁUMACZONE

Czytelnik wydał krótką powiastkę Lwa Tołstoja p. t. „Trzy niedźwiedzie“ ilustrowaną znakomicie przez Różańską. Tekst kształcący i zabawny. Sposób opowiadania świadczy o wielkim wyczuciu upodobań dzieci, a ilustratorka doskonale za autorem podąża. Baśń bardzo nadaje się do inscenizacji. Jest to jedna z najładniejszych książek dla najmłodszych jakie się ostatnio ukazały.

„Ptasie piórka“ Dory Gabe, to dziecinne wierszyki tłumaczone z bułgarskiego.

Ilustracje również bułgarskie, Newy Touzsużowej. Książka duża, ładna, bardzo barwna. Wiersze może nie dorównują dobrym lirykom Porazińskiej, Kownackiej, czy Zarembiny, ale mają trafną tematykę i wdzięk. Udaną pozycją jest wydana przez Naszą Księgarnię baśń Tajca „Jarzębinka“, tłumaczona z rosyjskiego. Prawdziwie baśniowa narracja, sugestywne związanie obrazka z tekstem składają się na bardzo miłą całość.

W cyklu „Od książeczki do biblioteczki“ wyróżnia się łatwa bajeczka [illegible]yszewa „Uparty kotek“ i „Wróbiątko“ Gorkiego. Każde słowo w „Upartym kotku“ jest pedagogicznie i artystycznie trafne i nieodparcie urocze.

Jednymi z najlepszych książek dla także starszych dzieci są wydane przez Czytelnika dziełka świetnego znawcy świata przyrody W. Bianki „Myszka Pik“ i „W leśnych domkach“. Są to raczej książeczki popularno-naukowe, ale napisane artystycznie i umiejętnie, bardzo po[illegible]wo odsłaniają dziecku tajemnice otaczającego nas życia różnych stworzeń. Jest to niewątpliwie zdrowa, doskonała literatura dla dzieci.

E. Boronina „Opowieści lekarza zwierząt“ (wyd. Nasza Księgarnia) są też dobrą książką. Krótkie interesujące obrazki z zoo pogłębiają i wysubtelniają stosunek dziecka do zwierząt, każąc współczuć ich cierpieniom i malując gorliwość i sumienność lekarza przy ich leczeniu i ratowaniu.

Nie możemy ogarnąć całości materiału rozpatrując wydawnictwa dziecięce. Plon jest bogaty. Była chwila, że książki dla dzieci stanowiły pokaźny procent ogólnej produkcji. Ale chcielibyśmy wymienić przykładowo kilkanaście książek, które jako współpraca autorów z plastykami są osiągnięciem pozytywnym.

Dla małych dzieci mało jest książek równie dobrych jak „Ogródek“ Kownackiej - Lipińskiej. Ślicznym zbiorem liryków jest oryginalnie i u[illegible] ilustrowana przez Fijałkowską książka Zarembiny „Aa kotki dwa“ i tejże autorki „Niedziela“ (il. przez Koch-Podoską). Doskonałą książką Porazińskiej - Siemaszkowej jest zbiór powiastek: „O dwunastu z zapiecka“.

Dobre i ładnie ilustrowane są książki Kownackiej: Plastusiowy pamiętnik (Bobiński) i „Leszczynowa górka“ (Ożerska). Piękne i artystyczne są książki Januszewskiej „Jawor, jawor“ i „Siwa gąska siwa“ Z talentem napisane i z talentem przez Rembowską zilustrowane są „Przygody [illegible]asnala Hałubały“ Lucyny Krzemienieckiej i tejże autorki „Baśń o trzech siostrzyczkach“ z ilustracjami Krugerówny. Z książek realistycznych, dowcipnych i poetyckich jednocześnie na czoło wysuwa się „Lokomotywa“ Tuwima-Szancera, książka wprost znakomita. Doskonałą pozycją są „Ptasie plotki“ Brzechwy i Lipińskiego. Są to przykłady sukcesów. Mamy prócz tego wiele książek, które są dziełem talentów, ale które należałoby omówić, co do których istnieją duże różnice zdań — lub gdzie są piękne albo teksty, albo ilustracje, gdzie teksty i ilustracje są piękne, ale za trudne, za wymyślne i dla nowego masowego czytelnika za dalekie. Wiele z nich zasługuje na pewno, podobnie jak wyżej przez nas wymienione na to, aby je nazwać kluczykiem do krainy kultury. Słusznie pisała A. Mikucka w Kuźnicy: „Trzeba, żeby dziecko stykało się z szeregiem różnych książek i różnych autorów. Funkcja literatury jest przygotowaniem dziecka do przejmowania treści wszelkiego rodzaju: intelektualnych, społecznych, uczuciowych, estetycznych i to stawia bardzo zróżnicowane wymagania piśmiennictwu dla dzieci“.

Na tegorocznym Zjeździe Literatów Polskich mówiła W. Żółkiewska, że naczelną tezą literatury dla dziecka jest wychowanie człowieka nowej epoki, zdolnego do zrozumienia zadań tej epoki i podjęcia tych zadań wespół z całym społeczeństwem. Literatura taka zdaniem referentki musi sięgnąć do życia, które dziecko zna, które widzi i czuje. Treść tych dzieł wyrażona być może jedynie realistyczną formą. Czy tezy realizmu socjalistycznego — zapytuje referentka — zacieśniają granice nowej literaturze? Nie, odpowiada — „Gwarantują warunki jej rozwoju, otwierają nowe możliwości“.

Rozkwitające życie zawsze otwiera sztuce nowe możliwości. Zwłaszcza jeśli już istnieją dobre tradycje w tej sztuce. W 1947 roku M. Gutry pisze: „Literatura dziecięca przez swój stosunek do pracy i człowieka wyprzedziła przemiany społeczne doby obecnej. Już w latach 18 — 39 autorzy mieli przed oczami dzieci wszystkich środowisk, dla nich i o nich zaczęli pisać. Dziecko ubogie przestaje być obiektem charakterystycznych zabiegów panienek ze dworu, staje się bohaterem, uczestnikiem powieści. Zarówno mali bohaterowie, jak i otoczenie ich ulega zmianie; fabryka, kopalnie, warsztaty, świetlice, podwórko, poddasze, czy suteryna to ośrodki, gdzie rodzą się konflikty, powstają spólnoty“ (Ruch Pedagogiczny Nr 4, 1947 r.). „Wyszliśmy z chaosu rozpoczynamy okres planowej pracy“ mówi dr Skowronkówna w maju 1949 roku, dodając, że zarzucano jednak literaturze dwudziestolecia przewagę czynnika fantastycznego i niezdolność wprowadzania dziecka w świat rzeczywisty.

Jak trudno jest poradzić sobie literaturze z naporem rzeczywistości widzimy to dzisiaj. Nie łatwo jest znaleźć ten ton żywy, naturalny, poważny i nie przecenić zdolności rozumienia i odczuwania dziecka. Niewątpliwie pisarze radzieccy odnieśli na tem polu duży sukces. Rygory bowiem w świecie książki realistycznej są dla artysty jeszcze chyba surowsze niż w świecie fantazji. Zwłaszcza, że dorosłych stale ponosi i w nieuzasadnionym artystycznie poczuciu wyższości chcą nauczać, zakazywać, opisywać, zamiast — jak to się częściej udaje w poezji i baśni w jakimś głębszym kontakcie z dzieckiem — tworzyć.

*E. Ostromęcka*

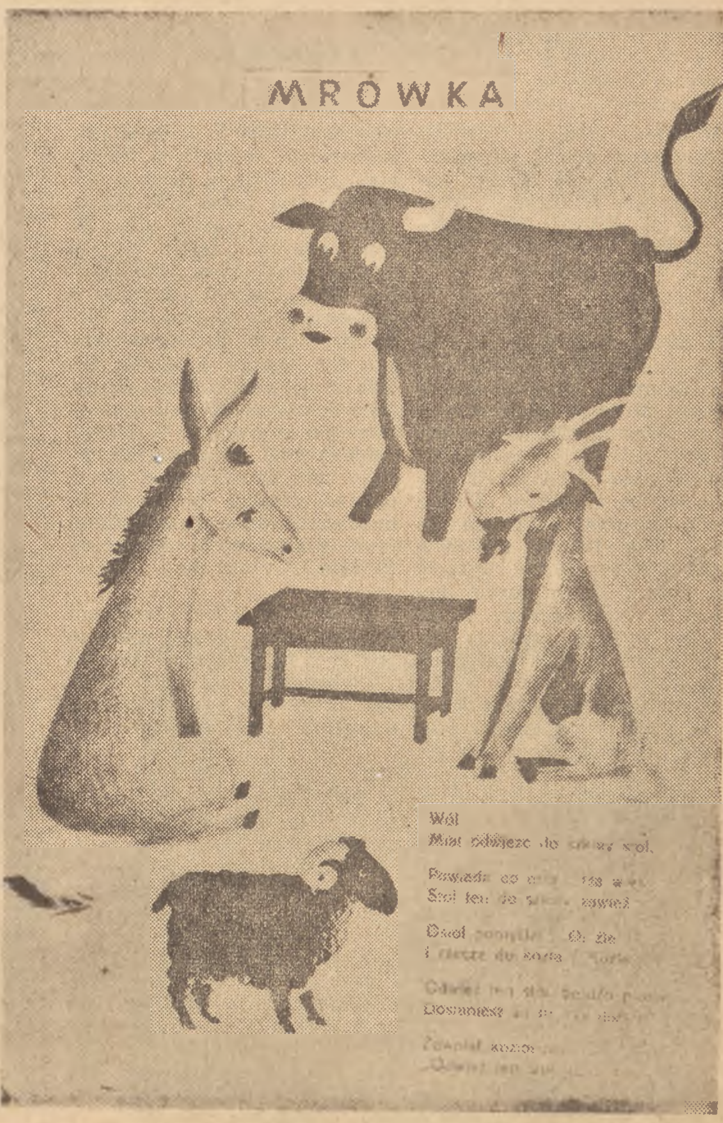

*Eryk Lipiński ilustracja do książki „Ptasie plotki“ Jana Brzechwy.*

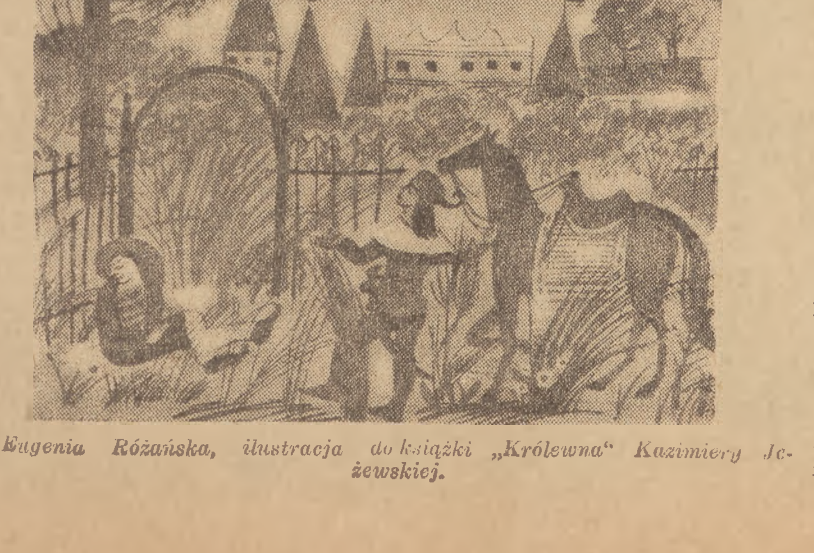

*Eugenia Różańska, ilustracja do książki „Królewna“ Kazimiery Jeżewskiej.*

# TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

## W Warszawie

Minister Oświaty. dr St Skrzeszewski został mianowany wiceministrem Spraw Zagranicznych. Ministrem Oświaty został Witold Jarosiński, dotychczas I sekretarz KW PZPR w Warszawie.

×

3 lipca otworzono w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawę zorganizowaną ku czci Juliusza Słowackiego. Wprawdzie jubileuszowy rok dobiegł końca, lecz zgromadzenie aż trzech podobnych wystaw w roku ubiegłym (Mickiewicza, Chopina, Puszkina) nie sprzyjałoby jeszcze wystawie trzeciej. Scenarzystą wystawy jest Paweł Hertz, autor monografii o Słowackim, której drugie wydanie ukazało się obecnie na rynku księgarskim.

Organizator postanowił dać obraz życia i twórczości poety na tle epoki, zwłaszcza na tle ruchów społecznych w pierwszej połowie XIX wieku. Każda tablica zawiera wybrany fragment z pism poety odnoszący się do nowego etapu jego drogi twórczej, oraz plastycznie udokumentowaną scenerię (fotografie, rysunki), rękopisy poety (w pokaźnej ilości), listy i wiele innych materiałów. Tak więc oglądamy życie w Krzemieńcu, ruch umysłowy na Uniwersytecie Wileńskim. Zestawiono również ulubioną lekturę Słowackiego w różnych okresach jego życia w postaci egzemplarzy książek z tamtych czasów — Tasso, Homer, Byron. Jednym z cennych eksponatów jest Wujkowa Biblia Słowackiego, zawierająca uwagi i podkreślenia poczynione ręką poety. Oglądamy życie środowisk literackich, przez które przeszedł poeta: Warszawa, Paryż, Londyn. Twórczość Słowackiego związana z powstaniem listopadowym ilustrowana jest obrazem sytuacji politycznej i społecznej w Polsce i Rosji (spisek dekabrystów).

Bogate materiały dotyczą życia umysłowego Wielkiej Emigracji. Zebrano egzemplarze wielu ówczesnych czasopism polskich. Zwraca uwagę pismo wychodzące w Londynie (z r. 1837) z charakterystycznym podtytułem: „Republikanin, pismo nieperiodyczne i bez prenumeraty, wychodzące najmniej raz a najwięcej 3 razy na miesiąc" (!) — Świadectwo trudnych warunków ówczesnej działalności emigracyjnej. W wielu pismach czytamy krytyczne oceny utworów Słowackiego — te słynne paszkwilanckie napaści, które poeta tak gorzko przeżywał. Widzimy również egzemplarz pierwszej monografii o Słowackim wydanej w Paryżu w r. 1833 pt. „Notice sur les' Poesies de Jules Slowacki por. L. Lemaite".

Podróże poety, zobrazowane są szeregiem ówczesnych sztychów, które świetnie oddają nastrój romantyzmu. Jest również wiele rysunków Słowackiego z raptularza podróży.

Najwięcej może uroku mają oryginały listów poety treści osobistej i politycznej. Czytamy również listy dotyczące stosunku Słowackiego do Towiańskiego. Najmocniejszym akordem jest Wiosna Ludów. Organizatorzy wystawy w przystępny sposób ukazali narastanie radykalnych ruchów społecznych XIX wieku. Widzimy egzemplarze Mickiewiczowskiej „Tribune des Peules" oraz oryginał ulotki „Składu Zasad" Legionu Mickiewicza („Simbolo Politico Polacco").

Tak więc gros wystawy poświęcone jest plastycznej opowieści o drodze twórczej Słowackiego. Obok tego oglądamy zestawienie wszystkich edycji pism Słowackiego, dzieł o Słowackim oraz przekładów utworów poety na języki obce. W tym ostatnim dziale zwraca uwagę tłumaczenie „Anhellego" na język libański, wydane w Bejrucie w r. 1949 („Żul Slowacki — Anhelli). Zestawiono również bogatą kolekcję ilustracji do poezji Słowackiego. Arcyciekawym działem jest — Słowacki w teatrze. Wszystkie najciekawsze realizacje sceniczne dramatów Słowackiego w dziejach teatru polskiego są udokumentowane fotografiami oraz plastycznymi modelami dekoracji.

*Słowacki dziś* — to treść sali ostatniej gromadzącej wydania w Polsce po wojnie, z świetnym 12-tomowym na czele, które niebawem dotrze już do prenumeratorów i czytelników.

×

Wielki obraz Matejki „Grunwald" przewieziony został z „Zachęty" do Muzeum Narodowego, gdzie zajmie miejsce w galerii malarstwa polskiego.

×

W gmachu warszawskiej Politechniki otworzona została międzynarodowa wystawa Aparatury Naukowo - Badawczej. Wystawiono eksponaty z Polski, ZSRR, Czechosłowacji, Węgier i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

×

W Warszawie obradowało IV plenarne zebranie Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Związek ten grupuje nie twórców, lecz siły pomocnicze i administracyjne zatrudnione w wydawnictwach i instytucjach kulturalnych i naukowych. W związku z tym nasuwa się pytanie dlaczego do związku tego nie należą adiustatorzy i korektorzy poszczególnych wydawnictw, którzy albo (np. w „Czytelniku") należą do Zw. Zaw. Pracowników Spółdzielczych, albo (np. w PIWie) do Zw. Zaw. Poligraficznego, co w jednym i w drugim wypadku pozbawione jest słuszności, jeżeli uznamy związki zawodowe nie tylko za mechaniczną organizację ludzi pracujących w jednej instytucji, ale za kuźnię kadr w poszczególnych zawodach.

×

W ramach podpisanej niedawno konwencji kulturalnej — w wyniku kilkudniowych narad podpisano umowę o współpracy między Polskim Radiem a Radiem Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W Warszawie odbyły się narady stałej Komisji do Współpracy Technicznej i Naukowo-technicznej między Rzplitą Polską a Republiką Demokratyczną Niemiecką.

×

Dorocznym zwyczajem przyznano nagrody naukowe i artystyczne m. st. Warszawy, po 200.000 zł każda. Jury obradowało pod przewodnictwem Zygmunta Dworakowskiego — przew. Komisji Oświatowej Stołecznej Rady Narodowej. Nagrodę naukową otrzymał prof. Jan Samsonowicz za prace w zakresie geologii. Nagrodę literacką — Stanisław Ryszard Dobrowolski za całokształt twórczości ze specjalnym uwzględnieniem wydanej ostatnio książki p. t. „Notatnik Warszawski". Nagrodę za twórczość literacką dla dzieci otrzymała Lucyna Krzemieniecka. Nagrodę plastyczną — artysta rzeźbiarz prof. Tadeusz Breyer.

×

Ukonstytuował się zarząd główny, zorganizowanego ostatnio Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej. Prezesem został Zygmunt Młynarski, wiceprezesem — Zofia Bursztynowa. Do zarządu weszli przedstawiciele CRZZ, NOT, Ministerstwa Oświaty, (wicemin. H. Jabłoński) KC PZPR (Józef Kowalczyk i Jadwiga Siekierska) S.Ch., ZLP (Ewa Szelburg Zarembina). Towarzystwo Wiedzy Powszechnej działać będzie przede wszystkim w ośrodkach o małym i słabym ruchu kulturalnym poprzez akcję odczytową, autorską i filmową. Swymi wydawnictwami popularyzować będzie naukę i technikę.

×

Zagadnienie pieśni masowej jest zagadnieniem trudnym. Liczne usiłowania, podejmowane drogą konkursów, nie dały szczęśliwych rezultatów. Ostatnio ogłoszono wyniki jeszcze jednego konkursu na pieśń masową, zorganizowanego przez ZAIKS. Nagrody za tekst uzyskali: Helena Kołaczkowska, St. Ryszard Dobrowolski i Henryk Roztworowski.

×

Sezon koncertowy w Filharmonii Warszawskiej zakończył się 28 czerwca. Odbyło się ogółem 67 koncertów symfonicznych. Wykonano 221 utworów, w tym 62 utwory muzyki polskiej. Gościnnie wystąpiło 6 chórów. Podczas gdy w sezonie 1948/49 frekwencja słuchaczy wahała się na koncertach piątkowych od 63 proc. do 107 proc., a na niedzielnych spadała nawet do 29 proc. kompletu sali, to w sezonie 1949/50 najmniejsza frekwencja (maj) wynosiła 93 proc., najwyższa (grudzień) — 125 proc.

## W kraju

Komitet Wykonawczy Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju wysunął następujące kandydatury do nagrody pokoju — *Miasto stołeczne Warszawa,* w osobach Związku Zawodowego Robotników Budowlanych, Związku inżynierów i Techników Budownictwa oraz Stowarzyszenia Architektów RP (SARP). W dziale plastyki — rzeźbę *Alfreda Wiśniewskiego* „Granica Pokoju" wystawioną w Warszawie na wystawie ogólnopolskiej. W dziale poezji — wiersze *Władysława Broniewskiego* oraz *Jarosława Iwaszkiewicza* („Pieśń pokoju", „Hymn olimpijski" i „Oda do Francji"). W dziale prozy — *Jerzego Andrzejewskiego* „Noc". W dziale dramatu — *Leona Kruczkowskiego* „Niemcy". W dziale filmu *„Ostatni Etap"* w osobie Wandy Jakubowskiej. W dziale muzyki — *Bol. Wojtowicza* za kantatę „Na cześć pracy". *Andrzeja Panufkin* za „Symfonia rustica" oraz zbiorowo *inicjatorów i organizatorów roku chopinowskiego.*

×

Prasa polska wydrukowała nowy, drugi, atrykuł Józefa Stalina w sprawie marksizmu w językoznawstwie. Artykuł ten jest odpowiedzią na dalsze pytania skierowane do Stalina po ogłoszeniu artykułu pierwszego.

×

Wobec odmowy rządu Włoskiego udzielania wiz uczestnikom projektowanego II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, który miał być zorganizowany w Mediolanie w październiku br. — Kongres ten odbędzie się w Warszawie.

×

„Film Polski" realizuje pierwszy po wojnie film młodzieżowy — komedię p.t. „Pierwszy Start", której fabułę tworzą wydarzenia z obozu szybowcowego SP.

### SZKOLNICTWO

Od 1 września zlikwidowane będą w dotychczasowej formie szkoły dla dorosłych. Zamiast tego powstaną przy zakładach pracy, w dzielnicach i osiedlach robotniczych, w PGR i POM, w spółdzielniach produkcyjnych szkoły podstawowe i licea ogólnokształcące dla pracujących. W szkołach podstawowych przerabiany będzie program V, VI, VII klasy szkoły siedmioklasowej, w liceach zaś materiał ostatnich czterech klas tzw. „jedenastolatki". Nauka cztery razy w tygodniu. Szkoły te posiadać będą klasy dla młodocianych od 14 do 18 lat, oraz klasy dla dorosłych od 18 do 30 lat. Przyjmowani będą pracownicy i robotnicy — członkowie związków zawodowych, robotnicy rolni, członkowie spółdzielni produkcyjnych, kobiety prowadzące gospodarstwo.

W Politechnice Wrocławskiej uruchomiony będzie nowy wydział: Inżynierii Sanitarnej. Na Uniwersytecie Wrocławskim utworzony zostanie specjalny wydział Zootechniczny, pierwszy w Polsce. Wrocław posiada dla prac tego wydziału wyjątkowo korzystne warunki naukowe i gospodarcze.

Wieczorowe Politechniki NOT-u, będące trzyletnimi studiami inżynierskimi w tzw. wąskiej specjalności (kandydaci muszą prócz matury licealnej stale pracować w zakładzie przemysłowym), cieszą się ogromnym powodzeniem. Okazały się one tak bardzo potrzebne, że od nowego roku szkolnego NOT uruchamia 10 Politechnik Wieczorowych: w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu, Katowicach, Białymstoku, Poznaniu, Krakowie, Radomiu, Łodzi i Bytomiu.

## Zagranica

### *PRACA W „DOMACH AKTORA"*

Ostatnie, rozszerzone posiedzenie Prezydium Rady Wszechrosyjskiego towarzystwa teatralnego, poświęcone zostało dyskusji nad formą społecznej pracy twórczej przodujących domów aktora rosyjskiego federacji Moskiewskiej i Leningradzkiej.

Przedstawiciel i dyrektor federacji Moskiewskiej, w sprawozdaniu swym zaznaczył, że dom aktora w Moskwie urządził w ciągu roku ostatniego 270 wieczorów dyskusyjnych, zebrań i lekcji, w których wzięło udział powyżej 65.000 osób. Między innymi odbył się cykl wykładów na temat marksistowsko-leninowskiej estetyki. Praca w domu podzielona jest na szereg sekcji, przy czym sekcja młodzieżowa urządziła 40 wieczorów. Inowacją jest zorganizowanie żywych dzienników p. t. „Życie teatralne" i „Nauka i wiedza", które cieszyły się wielkim powodzeniem i miały wielką frekwencję.

Według sprawozdania swego sekretarza, dom aktora w Leningradzie istniejący od pół roku potrafił rozwinąć już znaczną działalność, toteż cieszy się dużym autorytetem wśród artystów Leningradu Na wysokim poziomie była prowadzona dyskusja na temat nowych inscenizacji teatrów muzycznych.

Prezydium Rady wszechzwiązkowego towarzystwa teatralnego postanowiło gorąco zalecić wszystkim domom aktora w ZSRR korzystanie z bogatego doświadczenia masowej twórczej pracy Moskwy i Leningradu.

⁂

### TURYSTYKA W ZSRR.

Towarzystwo sportowe „Bolszewik" organizuje na lato cały szereg wycieczek w różnych kierunkach i na różnych szlakach. Centralna rada tej instytucji zimą jeszcze zorganizowała kursy dla instruktorów turystycznych. Grupy turystów mają zbierać się na wymarsz w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, Charkowie, Krasnojarsku, Nowosybirsku, w Kazachstanie, Kirgizji i na Uralu.

Około tysiąca sportowców po odbyciu obozu wysokogórskiego wyruszy do rezerwatów na Kaukazie i tam zaczynając od dolin, korytami rzek posuwać się będą na skaliste szczyty. Jeszcze piękniejszą wycieczką będzie rezerwat na południowym Uralu, koło miasta Miassa. Jest to nadzwyczaj pięknie położone, jedyne bodaj miejsce na świecie, gdzie znajdują się kamienie i minerały wszystkich możliwych kolorów tęczy.

Jeden obóz alpinistyczny rozłoży się w dolinie rzeki Baksan, u podnóży góry Elbrus. Stąd wyruszy 16 najlepszych alpinistów na najtrudniejsze wspinaczki.

Na zakończenie turystycznych imprez, ma się odbyć na Kaukazie Wszechzwiązkowy zlot turystów oraz alpinistów. Osoby uczestniczące w wysokogórskich wycieczkach po raz pierwszy, zbiorą się 1-go sierpnia na polanie górnego Baksanu i tam odbędą, krótki obóz pod kierownictwem odpowiednich instruktorów. Po odbyciu tych elementarnych ćwiczeń uczestnicy zostaną podzieleni na 9 grup, które różnymi drogami udadzą się na zlot. Zlot odbędzie się nad morzem Czarnym, niedaleko miejscowości kąpielowej Chosti.

We wszystkich powyższych imprezach i wycieczkach ma wziąć udział ponad pół miliona sportowców.

⁂

### „MŁODY SOWIECKI KUROT"

Pod tym tytułem specjalny korespondent „Medycinskiego robotnika" donosi o otwarciu nowej balneologicznej stacji na Bałtyku w Połądze. Buduje się tam nowe sanatorium na 100 łóżek, a dawne powiększono o 50 łóżek. Zwiększona została opieka lekarska. Połąga posiada wspaniałą plażę ciągnącą się na 15 km.

⁂

### O POPULARYZACJĘ MUZYKI

W końcu czerwca odbyło się w Moskwie IV-te plenarne zebranie Centr. Kom. Związu Zawodowego Pracowników Artystycznych. Wzięli w nim również udział dyrektorzy i delegaci największych organizacji koncertowych państwa. Głównym tematem referatów i dyskusji były sprawy związane z propagandą i rozpowszechnianiem muzyki.

Wszystkie przemówienia były zgodne, że w ostatnich czasach organizacje koncertowe poprawiły i znacznie udoskonaliły swą działalność. Repertuar kolektywów został oczyszczony z utworów, które pod względem wartości muzycznej nie odpowiadały ważnemu zadaniu rozwijania muzykalności w ludzie. Zastąpiono je utworami klasyków rosyjskich lub światowych jak również najcelniejszymi dziełami muzyki współczesnej.

Do pewnego stopnia szwankują jeszcze programy, których układ jest często zbyt ciężki i za mało przystępny. Winę tego jednak ponosi Główny Zarząd Muzycznych Organizacji Komitetu dla Spraw Sztuki. Należy usilnie dążyć do unikania skomplikowanych rozwlekłych koncertów wtedy, gdy chodzi o muzyczne wychowanie i wyrabianie ludu. Błąd tego rodzaju popełniały szczególnie filharmonie w Kursku, Orłowie, Chersoniu.

Zwrócono w dyskusji uwagę na szczególniejsze znaczenie jakie posiada obsłużenie muzycznymi koncertami ośrodków przemysłowych i wiejskich. Winny to szczególniej wziąć pod uwagę filharmonie w Baku, Tyflisie, Iwanowie, Stalingradzie, Tadżikistanie i na Dalekim Wschodzie.

⁂

W Kongresie Pisarzy Niemieckich wzięła udział delegacja pisarzy polskich w składzie Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski i Tadeusz Borowski.

W uroczystościach z okazji 250 lecia Berlińskiej Akademii Nauk weźmie udział delegacja polskich naukowców w składzie prof. prof. Z. Kormanowa, St. Mazur i Cz. Nowiński.

## Film

*„Przybrana córka"* czyli „Szlachetny milioner" scen. J. Neuberg, F. Vlcek, R. Jares, M. Nohac, reż.: M. Fric, zdjęcia: K. Degl, muzyka: J. Kalas. Produkcja Czechosłowacka.

„Przybrana córka" film produkcji czechosłowackiej jest próbą zdemaskowania schematów filmów amerykańskich. Próbą o tyle ciekawą, że nie przejaskrawioną, operująca nawet nie tyle zniekształceniem amerykańskich szablonów ile ich zestawieniem. W ten sposób dokonano oceny amerykańskich scenariuszy i chwytów filmowych prawie bez deformacji.

Scenariusz filmu zestawia kilka znanych i polskiej publiczności recept fabularnych jak utrata pamięci i przez nagłe jej odzyskanie zupełna zmiana sytuacji życiowej, nagła kariera dziewczynki z prowincji w wielkim mieście, miłość szlachetnego milionera do biednej manicurzystki, podwójne życie milionera-gangstera... Scenariusz pokazuje różne powikłania uczuciowo sytuacyjne, łączy te motywy bardzo zręcznie je komponując, tak aby sensacyjność akcji ani na moment nie przesłoniła poczucia śmieszności wszystkich przedstawionych wątków. Wszystkie te motywy zostały tak zestawione że w zestawieniu same się dyskredytują. Zostaje wykazana ich sztuczność, nieprawdziwość i śmieszność. Dialog żywcem wzięty z tzw. „brukowej literatury" podkreśla trywialny

# TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

patos wszystkich rzekomo wzruszających perypetii psychicznych.

Nie bez przyjemności odkrywa się w „Przybranej córce" wyraźne aluzje do poszczególnych filmów. Prócz jaskrawych schematów z romansów z Deanną Durbin, z rewiowych i kryminalnych filmów dostrzegamy ów salon z kominkiem żywo przypominający pałac Obywatela Kane i motyw metafizycznych kontaktów przy pomocy drabiny, przypominający ruchome schody do nieba ze „Sprawy życia i śmierci".

Zręcznie zestawiono także parodię chwytów filmowych i typowych rozwiązań sytuacyjnych, począwszy od pseudorealizmu w pierwszych epizodach, poprzez drwinę z wszelkiego prawdopodobieństwa sytuacji (śpiew w pociągu i na ulicy, stroje na okręcie) do chwytów z filmów rewiowych (scena w marynarskiej knajpie, końcowa kolorowa rewia itp.). Wydaje się przez to że realizatorzy „Przybranej córki" zrezygnowali z bardzo ponętnego przejaskrawienia i większego zgroteskowania, że zastosowali niemal żywcem skopiowane chwyty filmowe, osiągnęli przez tę powściągliwość wynik bardzo dobitnie działający. Wykazali bowiem, że wiele filmów amerykańskich opartych na scenariuszu całkowicie bzdurnym i bezwartościowym oszukuje publiczność przez zastosowanie tzw. „artystycznej oprawy", że zdarza się, że widzowie nie dostrzegają bezsensowności i prymitywności filmu zasugerowani ładną często technicznie frapującą oprawą. Jest ogólnie znane, że produkcja hollywoodzka wyzyskuje wszystkie zewnętrzne osiągnięcia kinematografii całego świata, że kopiuje dla swoich celów kształty i wartościowe zdobycze artystyczne odrzucając ich treść. Wynika z tej metody mniej lub więcej jaskrawa dysproporcja między zawartością filmu, która ma wszelkie elementy sensacyjnego prymitywnego romansu i mechaniczną formalną estetyzacją często zręcznie sugerującą wartość i rzekomo wysoki poziom artystyczny. Oto wystarczy przypomnieć, że Amerykanie w swoisty sposób wyzyskali osiągnięcia włoskiego realizmu kopiując z filmów Rosseliniego czy de Sica bezpretensjonalną metodę odbijania rzeczywistości bez upiększeń, stosując jedynie do innych celów. Filmy kowbojsko-kryminalne zaopatrzono w realia z przedmieść i typowe chwyty naturalistyczne. Ten pseudo-realizm jako jedną z metod szablonu technicznego demaskuje słusznie „Przybrana córka".

Doskonale także uchwycono zły smak w ostentacyjnie luksusowych rewiowych filmach amerykańskich ich potwornie brzydką i przeładowaną przepychem inscenizację i dekoracje.

Pewne dłużyzny scenariusza i powtarzanie tych samych raz już wykpionych chwytów, są zapewne wynikiem obawy aby tempem akcji nie przesłonić wrażenia śmieszności, żeby publiczność ani na moment nie zaczęła brać „na serio" pokazywanych wątków, niemniej można było zdaje się tego uniknąć. Film jest dobrze skonstruowany, dobrze z umiarem grany i bardzo trafnie zmontowany. Doskonały jest pomysł wątków retrospektywnych w formie kronik z okresu niemego.

*Leszcz.*

# Teatr

## Studio Operowe w Gdańsku wystawia „Eugeniusza Oniegina

Przez operę w Polsce przebiega w ostatnich latach nieśmiały jeszcze, lecz już wyczuwalny prąd odrodzeńczy. Wzrasta liczba czynnych teatrów i szkół operowych. Pojawiają się próby nowego ujęcia starych dzieł oraz ukazania publiczności nowych lub dawno nie wystawianych baletów i oper. Coraz szerzej odczuwa się, również w samym środowisku muzycznym, potrzebę odnowienia opery przez związanie jej na powrót z teatrem, z dramatem.

Ta słuszna tendencja stawia zwiększone wymagania przed inscenizatorem i reżyserem operowym. Jego zadaniem staje się nie tylko sceniczna realizacja określonego dzieła muzyczno-dramatycznego, lecz przedtem jeszcze interpretacja i określenie libretta (wespół z kierownikiem literackim), stworzenie nowej, współczesnej koncepcji odtwórczej, podkreślenie tego, co szczególnie współbrzmi z odczuciami nowego widza.

Spójrzmy z tego punktu widzenia na popularną operę Piotra Czajkowskiego „Eugeniusz Oniegin", wystawioną z końcem czerwca br. przez Studio Operowe Filharmonii Bałtyckiej na scenie Państw. Teatru Wielkiego „Wybrzeże" w Gdańsku.

Autor libretta, Modest Czajkowski, brat kompozytora, wykroił z poematu Puszkina („encyklopedii życia rosyjskiego tego czasu", jak go nazwał Bieliński), dramat miłosny rzutowany na tło dość sielankowe ukazanej wsi oraz salonów dworskich. Zadaniem dzisiejszego inscenizatora powinno być poprzez ponowną analizę tekstu libretta przybliżyć rzecz jak najbardziej do ducha poematu Puszkina, umieścić salonowy dramat jednostek, w którym tak lubowała się mieszczańska opera XIX w., na szerszym społecznym tle epoki.

Przyjrzyjmy się choćby wsi rosyjskiej ukazanej w „Eugeniuszu Onieginie".

Kiedy Tatiana spotyka się z Onieginem w ogrodzie, dochodzi ich śpiew służby zbierającej maliny. Osobliwa jest przyczyna tego śpiewu (przekład Belmonta):

„... Parku kąt
Rozbrzmiewał pieśnią nakazaną. (Nakaz cel ten osiągnąć mógł, by łakomymi usty sług jagody pańskiej nie zjadano — bo usta musiał zająć śpiew...)".

Gdzie indziej, wśród mrozu, „stangreci panów swoich klną, bijąc w skostniałe swoje dłonie". A ustęp, w którym niania opowiada Tatianie o swym wydaniu zamąż? Historia, nie odosobniona, przymusowego małżeństwa pańszczyźnianej chłopki?

Oto część prawdy o wsi ówczesnej, nie wsi „bajecznie kolorowej", lecz rzeczywistej wsi, którą rządził taki czy inny „Gwoździn, gospodarz doskonały, właściciel mnogich dusz".

Są to kulisy opery, które warto było odsłonić.

Po drugiej stronie ukazuje Puszkin salony stołeczne, pełne pustych i znudzonych dandysów i prowincjonalne szlacheckie dworki, gdzie wśród innych panoszy się „i, otstawnoj sowietnik, Filianow, łapownik, żarłok, stary łgarz, plotkarska gęba, błazna twarz". Damy z tych środowisk, sentymentalne snobki, („jej delikatnej ręki palce nie znały igły") mogłyby zaiste wyznać o sobie, „od oświaty — z puchem lic — wzięły pozę... Więcej nic!" Kiedy w środowisku tym znajdzie się umysł subtelniejszy, poeta, to wiersze swe „czyta jedynie starej niani, druhowi swoich młodych lat". Nikt inny ich nie odczuje!

W zakończeniu VI rozdziału poematu, w strofach 46 i 47, podsumowuje Puszkin niejako zło i brzydotę otaczającego życia, odmęty, w które pogrążył poetę i jego bohatera ich „miły czas", „nielitościwy wiek".

Oniegin jest ofiarą swej epoki. Z układu jej społecznych stosunków zrodziła się romantyczna „choroba wieku" Onieginów, aspołeczność, egotyzm, swawola uczuć, znudzenie wszystkim. Cóż pozostaje Onieginom począć z resztą zachowanej wrażliwości myśli i serca? Mogą oni obrać drogę kompensaty przez religię czy sztukę, więc „celem mym — czytamy w II rozdziale — zaznaczyć żywot mój pokutny". Lecz poza powołaniem poetyckim widnieje inna jeszcze droga wyjścia z odmętów epoki.

Osiadłszy w odziedziczonym dworku wiejskim, myśli Oniegin o stworzeniu nowego porządku społecznego. Budząc tym zgorszenie sąsiadów, posądzenia o niebezpieczne dziwactwo, Oniegin „na czynsz pańszczyznę starą zmienia, na lekki czynsz". Leńskiego marzącego o wolności zestawia Puszkin w opuszczonej strofie VI/38 z powieszonym dekabrystą Rylejewem. U jego martwych zwłok każe poeta czytelnikowi uświadomić sobie, że „zmilkł żywot twórczy dla nas głos, i za mogilną już granicę doń nie doleci w przyszły czas hymn błogosławieństw wdzięcznych mas".

W pierwotnej koncepcji poematu Puszkin rozwiązać chciał los swych bohaterów zdecydowanie po linii rewolucyjnej. W szkicu do nienapisanego rozdziału znajdował i Oniegin oczyszczenie i sens swego istnienia w walce rewolucyjnej. Wg. wspomnień Józefowicza, któremu Puszkin zwierzał dalszy plan poematu, Oniegin miał również zjawić się w gronie dekabrystów wzgl. nawet zginąć w batalionie karnym na Kaukazie, jak Odojewski czy Biestużew.

Jakże znamienny jest ten typ rozwiązywania konfliktów romantycznej epoki. U Mickiewicza sentymentalny Gustaw zmienia się w bohaterskiego Konrada. U Słowackiego Kordian podejmuje zamach na cara. Nawet u Moniuszki, w operze „Halka" Jontek miał pierwotnie wstąpić do szeregów bojowników „Wiosny Ludów"!

Te perpektywy winno się mieć na oku i w obliczu inscenizacji „Eugeniusza Oniegina".

Niestety na wybrzeżu przystąpiono do tej opery jak do kanonu, nie podlegającego zmianom. „Onieginowi" w Gdańsku brakowało koncepcji inscenizacyjnej albo też była ona tak dalece tradycyjna, że wychodzi to prawie na jedno. I to jest zasadniczy zarzut, jaki postawić należy *inscenizacji prof. Wiktora Bregy.*

Podstawą stało się tu pierwotne libretto, lecz nawet nie w nowszym, bliższym Puszkina, przekładzie Wroczyńskiego (użytym w Warszawie), lecz starym, jeszcze młodopolskim, pióra bodajże A. Kitschmann, wygładzonym jedynie przez gdyńskiego śpiewaka. (W Poznaniu, na zebraniu dyskusyjnym, muzycy przekazali raczej literatom swe sugestie w sprawie tekstów do muzyki).

Brak nowej interpretacji libretta, sprawił, że akcja opery i jej postacie obracały się na scenie gdańskiej w próżni historycznej i społecznej. Scena dożynkowa miała nawet dla nie-marksisty wydźwięk zbyt solidarystyczny. Idylla. Dla jej wytłumaczenia zmniejszono, zwłaszcza w początkowych odsłonach, dystans społeczny między dworem a służbą i wsią. Łarina, po gospodarsku w fartuchu, była niemal patrialchalna. Niania, obdarzona wyjątkową naturalistyczną brzydotą w charakteryzacji i stroju zamiast wyrażać subtelność uczuć utajoną w ludzie, objawiała jedynie naiwne, ślepe przywiązanie. Również Oniegin, u Puszkina salonowy dandys, nie znajdujący dla siebie sensu i miejsca w społeczności, tu stał się niezrozumiałym czarnym charakterem i widz nie był w stanie nawet domyśleć się społecznego tła jego psychicznych powikłań.

Do szczęśliwych pomysłów incenizacyjnych zaliczyć trzeba wprowadzenie po bokach sceny głównej, na wysuniętym proscenium, dwóch scen dodatkowych, niby skrzydeł tryptyku.Ta trójdzielność sceny pozwoliła na granie pierwszych odsłon jednym ciągiem oraz na rozładowanie zbyt przeciążonych tłumem zbiorowych scen baletowych. *Dekoracje Karola Gajewskiego* cechowała pewna konwencjonalność, to znowu, miejscami, naturalizm. Dekoracje nie zawsze też stanowiły jednolite całości kompozycyjne. Publiczność gdańska zachwycona była oczywiście płatkami śniegu, wyczarowanymi w scenie pojedynku z pomocą efektów świetlnych, na uwagę jednak zasłużyła raczej imponująca dekoracja z salą kolumnową, w której interesująco wydobyto dal perspektywiczną. Poważnym zadaniem było wykonanie w własnych warsztatach Studia przeszło 200 stylowych kostiumów; nie zawsze przecież grały one jako plamy barwne na tle dekoracji.

O ile ogólna koncepcja przedstawienia prof. Bregy nie zadowoliła w pełni, to jego wkład pedagogiczno-reżyserski ocenić należy z najwyższym uznaniem.

Studyjny charakter przedstawienia przyniósł widowisku korzyść nie zawsze może docenianą: młodość obsady aktorskiej. Już pierwsze wykonanie „Eugeniusza Oniegina" w roku 1879 nastąpiło uczniowskimi siłami Moskiewskiego Konserwatorium — ku szczeremu zadowoleniu Czajkowskiego. Przyrodzony czynnik wieku niemało pomógł i w Gdańsku do wrażenia naturalności i świeżości w odtworzeniu postaci, do usunięcia operowej sztampy. Obsada ról była na ogół szczęśliwa, wypadków „odwagi", aby się tak po sportowemu wyrazić, nie zdarzało się zupełnie. Opanowanie sceniczne aktorów, obsadzonych podwójnie, w niektórych rolach nawet potrójnie, wprost zaskakiwało niekiedy. Dwie Tatiany: *Maria Zielińska* i *Irena Murawska. Ryszard Ślęzak* jako Leński, *Franciszek Kokot* jako Trijuet, i kilku innych, łączyło z dobrym śpiewem niewątpliwie zacięcie aktorskie. Nawet grę słabszą czy nieporadną (Leński w II, Oniegin w III przedstawieniu), podobnie jak i całość wykonania na premierze, w pierwszych zwłaszcza odsłonach, tłumaczyła wyraźna trema debiutantów.

Leński (Ryszard Ślęzak) i Olga (Maria Woroniecka).
Foto „Ryś" — Gdańsk

Już drugie przedstawienie odznaczało się wyrównanym poziomem ogólnym, zwiększoną siłą głosów opanowujących rozległą salę teatru, znaczną swobodą gry aktorskiej. Może jedynie duety i zespołowe śpiewy większej liczby solistów uderzały nadal jeszcze brakiem pełnego zgrania. Sceny zbiorowe opracowane zostały, mimo prymitywnej często mimiki twarzy w masie chóru, nader starannie. Na przyszłość należałoby jeszcze silniejszy nacisk położyć na aktorskie przeszkolenie chórzystów wysuwanych na przód sceny. Pięknym pomysłem reżyserskim było skontrastowanie sprzeczki przyjaciół w IV odsłonie z dyskretnym tłem muzyczno-tanecznym.

Śpiewy *chóru pod kier. Romana Kuklewicza* brzmiały na ogół silnie i czysto. W występach *baletu pod kier. Janiny Jarzynówny* wyczuwało się dobry smak artystyczny, choć w pierwszych tańcach, dzięki zbyt dużym ustępstwom na rzecz prawdopodobieństwa życiowego, zamiast uzyskać naturalność, popadało się w naturalizm. I tak w dożynkach kostiumy zespołu baletowego gubiły się w tłumie, a walca w IV odsłonie tańczono zbyt swobodnie i bezstylowo. Zdaje się, że błędy powyższe narzucone zostały przez koncepcję inscenizacyjną.

*Orkiestra Filharmonii Bałtyckiej* pod znakomitą *dyrekcją dr. Zygmunta Latoszewskiego* wypełniła swe zadanie wzorowo.

W sumie, „Eugeniusz Oniegin", przygotowywany w Gdańsku w arcytrudnych warunkach i własnymi jedynie siłami, choć jeszcze nie na własnej scenie, jest wyrazem wielkiego wysiłku zespołu i uzasadnionej ambicji terenu. Przez niespełna rok stworzono z grupy tancerzy, chóru i solistów Studia Operowego *(kier. wokalne — Kazimierz Czekotowski)* zespół, którego debiut wystawia piękne świadectwo pracy artystów — pedagogów z reżyserem prof. Wiktorem Bregy na czele. Wespół z wytrawną orkiestrą Filharmonii Bałtyckiej zespól ten będzie w stanie prowadzić pełnowartościową działalność operową. To jest już bardzo dużo.Oznacza to bowiem, że do oper Poznania, Śląska. Warszawy dołączy się wkrótce opera na Wybrzeżu.

„Eugeniusz Oniegin" w wykonaniu Studia Operowego nie jest bynajmniej pierwszą próbą w zakresie teatru muzycznego, podejmowaną na Wybrzeżu. Już przed rokiem wystawił Ivo Gall siłami ówczesnego Studia dramatyczno-muzycznego i Filharmonii Bałtyckiej „Halkę" Moniuszki, dając przykład wzorowego opracowania dramatycznego i plastycznego tej opery, z podkreśleniem jej społecznego charakteru. Naszą „narodową operę" wystawiano w tym sezonie również w Poznaniu, w inscenizacji i reżyserii Leona Schillera, inicjując prawdziwy przełom w współczesnej polskiej operze.

Przedstawienie „Eugeniusza Oniegina" w Gdańsku, choć nie tak odkrywcze w koncepcji całości, świadczy przecież, że stworzony i rozbudowany pod naczelną dyrekcją dr Zygmunta Latoszewskiego, młody aparat operowy jest sprawny i zdał swój egzamin. Należy życzyć sobie, aby dotknięty przez wojnę okazały neoklasyczny gmach Opery Gdańskiej, sąsiadującej przy Targu Węglowym ze słynną renesansową Zbrojownią, został jak najwcześniej odbudowany i oddany do użytku rozwijającego się zespołu. Idąc po linii nowych dążeń, przy współpracy twórczego inscenizatora i reżysera teatralnego, zespół ten wypełni na polskim Wybrzeżu swe artystyczne i społeczne zadanie.

*ANDRZEJ ODNOWA*

Oniegin (Rajmund Wojniłło i Leński (Ryszard Ślęzak)
Foto „Ryś" — Gdańsk

# ORGANISTA

**(Dokończenie ze str. 7-ej)**

MIMO to do swych świątobliwych dobroczyńców nabożeństwa szczególnego nie żywił. Albowiem Kubuś kochał piękno, a zwłaszcza piękno żywe i wykończone, zaś świątki ciężką ręką wiejskiego biedaka nieforemnie skonstruowane raziły Kubusia, który w czym jak w czym, ale w mieszkańcach nieba pragnął widzieć szczytową koncentrację piękna. Mruczał więc przyganiając nieznanemu twórcy i jego dziełom:

— Narobił bejdok bejdoków i każe wierzyć reszcie bejdoków, że taki na przykład kocioł na pajęczych nóżkach, z twarzą wielokrotnego mordercy ma być świętym Józefem... Lipa!

Konsekwentnym będąc kłaniał się więc, o ile sobie nie zapomniał, lub gdy „blachy na oczach nie miał", jedynie Matkom Boskim.

— Kobiecie — mawiał — choćby najbrzydszej honor oddać wypada. Ale chłopu, zwłaszcza gdy ma wygląd Madeja — nie, nigdy.

Najbliżej organistówki stał św. Piotr. Był straszny i ociupinę do Kubusia podobny. Miał tak samo krzywe nogi, podobnie cienki tułów i równie potężny łeb, z twarzą praczłowieka z epoki kamiennej. Jego też obdarzał Kubuś wyjątkową antypatią. I nieraz to zapóźnieni przechodnie mieli okazję słyszeć jego monologi, gdy stojąc w księżycową noc przed figurą łajał świątka, wypominając mu zwłaszcza jego zdradę:

— Ej Pietruś, Pietruś, marmolu jeden, jak cię nie wstyd, żeś Mistrza swojego w najcięższej godzinie opuścił i po trzykroć się Go zaparł... Wnet bym cię zwalił z tej kapliczki, ej zwalił, ino mi się drzeć z tobą nie chce...

Dało to powód starym babom do żegnania się, załamywania rąk i snucia najstraszliwszych bredni na temat organisty, którego czerwony diabeł opętał do tego stopnia, że śmie wyzywać ojca świętych i ubliżać fundamentowi Kościoła.

Nie pierwszy to zresztą raz dawał Kubuś pobożnym kumoszkom powody do niepobożnych pogawędek, zmartwień i zgrozy. Ale nie mogło chyba być inaczej, skoro istniały między nim a nimi tak zasadnicze różnice, że gdy tamte przewracając przed ołtarzami oczyma prosiły:

— Od powietrza, głodu, ognia, moru i komunistów zachowaj nas Panie. — to Kubuś zapatrzony w księżyc, z sercem dziwnie uroczystym szeptał żarliwie:

— O Ty, któryś przyszedł na ziemię, aby zasiać pokój i sprawiedliwość, pomagaj tym, którzy dzieło Twoje podjęli się doprowadzić do końca. Błogosław nawet komunistom, mimo, że w Ciebie nie wierzą. Ale Ty przecież w potędze swej nie potrzebujesz do szczęścia czyjejś chwały i na pewno więcej sobie cenisz jedną cegiełkę w dzieło pokoju i sprawiedliwości przez jednego komunistę włożoną, niż sto tysięcy zdrowasiek przez dziesięć tysięcy dewotek obłudnymi usty odklepanych...

Był w takich momentach podobny do romantycznego kundla, który sparty dziwnymi tęsknotami podniesie w księżycową noc pysk ku niebu i wyje tak jakoś żałośnie i przejmująco, czego tak bardzo ludzie nie cierpią, a co może być nie mniej piękne dla uszów Stwórcy niż modlitwa dzieciny.

Równie niepochlebnie jak o kostropatych świątkach wyrażał się Kubuś w pewnym okresie swego życia o polityce.

— Jeśli chcesz — pouczał słuchaczów — bawić się w to świństwo, miej w zapasie teczkę na ministra, torbę na dziada i worek na własne kości. Może się przydać pierwsze, drugie i trzecie. Najprędzej jednak to ostatnie.

Do przeświadczenia takiego doszedł w roku 1936, gdy biorąc udział w strajku chłopskim, dostał się do więzienia, gdzie go granatowi tak oporządzili, że po wyjściu przez cały miesiąc nie usiadł, a jeśli leżał, to tylko na brzuchu.

Dziesięć lat to jednak porządny kawał czasu, w zupełności wystarczający aby dziesięć razy przewrócić świat do góry nogami i zagoić pewne prywatne zadrażnienia, choćby tak bolesne, jak zmiażdżenie gumowymi palicami odwrotnej strony Kubusiowego medalu. Toteż w roku 1946, mimo wciąż odzywającej się antypatii do politycznych izmów i yzmów nie wytrzymał i zaczął się pracami miejscowego Koła PPR bardzo żywo interesować.

— Oto ręce — mruczał — które uszyją Dolinie nowy mundur. I co najważniejsze, że będzie to mundur dla tych, którym łachmany przyrosły do garbatego losu.

Jedno tylko niepokoiło mocno Kubusia w metodach działalności Partii — nieprzejednanie wrogi stosunek do karczmy, wódki i pijaków. Mimo wszystko zagadnął pewnego razu proboszcza, co by on też powiedział, gdyby jego organista zapisał się do PPR.

Proboszczowi pociemniała twarz od nagłego przypływu krwi, nie okazał jednak jak bardzo go to bolało, ale pomyślawszy chwilę wpadł na pomysł, którego skutków nie raz potem sam sobie gratulował. Podniósł na Kubusia grające dziwnymi ognikami oczy i uśmiechając się najspokojniej w świecie powiedział:

— Toć przecież tam ciebie nie przyjmą. Pijaczyna jesteś, mój drogi, beznadziejny, a dla takich miejsca w Partii nie ma.

Zwiesił Kubuś czubatą głowę, posmutniał mocno, kto wie nawet czy nie mocniej niż w obliczu pustej butelki i pewnie po raz pierwszy w życiu zamyślił się głęboko.

Również zapewne po raz pierwszy w życiu zdobył się Kubuś w tamtą chwilę na rozpaczliwą decyzję:

— Trzeba będzie chyba z tym zerwać.

I zerwał. Nie od razu oczywiście. Nim do tego doszło, wiele jeszcze wody upłynęło w niedalekim Dunajcu i wódy w dolińskiej karczmie. Ale zerwał. Pomogli mu właśnie zorganizowani biedacy, wygrywając roczną walkę z karczmarką i zamieniając karczemną izbę na świetlicę. Chodził tu Kubuś, jak dawniej, niemal co wieczoru, łagodząc nachodzące go jeszcze tęsknoty wódczane wielce aktywną pracą społeczno - kulturalną, na stanowisku kierownika przez siebie zorganizowanego zespołu chóralno-muzycznego.

**Józef Bieniek**

# Czytelnik uważa że...

**P. Gustaw Morcinek nadesłał do naszej Redakcji następujący artykuł p. Zofii Ślósarskiej z prośbą o zamieszczenie.**

Znany polonista i publicysta, Zygmunt Lichniak, zdobył sobie podobno aż tak wielką popularność wśród swoich czytelników oraz słuchaczy na zjazdach polonistycznych, że uleganie jego wpływom i sugestiom Kisielewski ochrzcił mianem „lichniakizmu"...

Nie zaliczonoby mnie jednak do wyznawców tego kierunku, ponieważ nie jestem w stanie ulec sugestii, jakie narzuca Lichniak w artykule „Trzech Morcinków" w jednym z ostatnich numerów tygodnika „Dziś i Jutro".

Pozornie przychylna ze strony Lichniaka ocena twórczości Morcinka przed i powojenne zawiera jednak sporo niesłusznych zarzutów i ukłuć skierowanych właśnie w to, co było najlepsze w dotychczasowej twórczości Morcinka, w jego utwory przedwojenne, o tematyce robotniczej górniczej.

Nie wypowiadając się na razie o tym, „trzecim Morcinku", który ma nam dać wkrótce nową, współczesną, wielką powieść górniczą, a zestawiając tylko tego „pierwszego" Morcinka — przedwojennego z „drugim" — powojennym, musimy bezwzględnie przyznać bez porównania większą wartość pierwszemu.

Lichniak dopatruje się przedwojennej twórczości Morcinka „uproszczonego, płytkiego humanizmu", który spłynął z autora wskutek przeżyć wojennych „jak licha chałupina w czasie powodzi", dopatruje się w tej twórczości „sentymentalnego optymizmu", „zdrożnej skłonności do symplifikowania", „humanizmu z gatunku bluszczowatych" i przypisuje autorowi „Wyrąbanego chodnika" brak łączenia myśli społecznej z możliwościami zmiany zastanego układu sił społecznych, brak inspiracji i dążeń rewolucyjnych.

Takie nam daje Lichniak ujmowanie przedwojennych dzieł Gustawa Morcinka o tematyce robotniczej, a zwłaszcza najlepszych jego dzieł, za jakie przez wybitnych krytyków przedwojennych (Kołaczkowskiego, Romana Pollaka) uważane były: „Wyrąbany chodnik", „Serce za tamą", „Chleb na kamieniu", utworów, w których znajdujemy nie tylko tak aktualny w dzisiejszej rzeczywistości kult pracy robotnika i górnika, ale i walkę ich z kapitalizmem, walkę mającą na Śląsku za czasów zaborczych podwójne znaczenie: społeczne i narodowe. Znajdujemy dużo napięcia rewolucyjnego w „Wyrąbanym chodniku", w opisie krwawych walk w okresie plebiscytu na Śląsku i już wówczas, a nie dopiero po przeżyciach osobistych z obozu koncentracyjnego rysuje nam Morcinek postacie zezwierzęconych ludzi w osobach Niemców, — Prusaków i Austriaków z czasów cesarstwa lub Niemców, z czasów burżuazyjnej republiki niemieckiej. Trudno znaleźć w tym dziele choć odrobinę „sentymentalnego optymizmu". Nie jest prawdą, jakoby Morcinek nie wybiegał myślą twórczą poza współczesne mu warunki przedwojennego życia społecznego.

Opisując bohaterski, ciężki trud górnika i hutnika domagał się dla nich lepszych warunków bytu, a w powieściach dla młodzieży: „Gwiazdy w studni" i „Po kamienistej drodze" ubolewa głęboko nad dolą bezrobotnych, zajętych w bieda - szybach i dolą wdów po górnikach poległych w katastrofach kopalnianych.

Nie wypowiada się wprawdzie za komunizmem i za obaleniem kapitalizmu za pomocą wielkiej rewolucji socjalnej, ale któż w Polsce przedwrześniowej mógł o tym jawnie pisać?

Morcinek zajmuje zdecydowane stanowisko po stronie ludzi pracy, górników i hutników, sam był synem poległego w katastrofie górnika i sam był również początkowo górnikiem, rozumie doskonale wagę tej pracy, choć wówczas nikomu jeszcze nie śniło się nawet o karcie górniczej, boleje nad niedocenianiem tej pracy, nad uciskiem klasy robotniczej przez kapitał, a to już na owe czasy panowania burżuazji stanowiło bardzo wiele.

W niektórych przedwojennych powieściach dla młodzieży, zwłaszcza w „Ludzie są dobrzy" i w finale „Gwiazd w studni" jest istotnie dużo optymizmu, lecz któż z ówczesnych pisarzy tworzył dla młodzieży książki nie optymistyczne?

W zestawieniu jednak książek Morcinka z innymi ówczesnymi utworami dla młodzieży jak na przykład z taką „Panną z mokrą głową" Makuszyńskiego — powieści Morcinka dla młodzieży zawierają poważne i wielkie zagadnienia: pracy, bezrobocia, nędzy ludu i przetwarzania charakteru pod wychowawczym wpływem harcerstwa. A to już też bardzo wiele.

Wbrew twierdzeniu Lichniaka o rzekomej wyższości i większej dojrzałości powojennej twórczości Morcinka uważam, że przeciwnie, powojenna twórczość jego jest znacznie słabsza, aczkolwiek występują w niej nowe cechy: znajomość sztuki, kultury starożytnej rzymskiej, poszukiwania religijno - moralne, rozmyślania filozoficzne.

Może właśnie ze względu na te ostatnie cechy twórczości Morcinka stawia ją Lichniak tendencyjnie wyżej od przedwojennego realizmu autora „Wyrąbanego chodnika"?. Bo wymowne jest bardzo wyrażone w artykule życzenie Lichniaka, aby ten „trzeci Morcinek" w zapowiedzianej nowej powieści zrealizował „dobrą powieść katolicką naszych dni".

Ta nowa powieść „trzeciego Morcinka" jest już napisana i miałam sposobność poznać ją w rękopisie.

Otóż muszę rozwiać nadzieje Lichniaka — nie jest ona powieścią katolicką, lecz jest nawrotem ze strony autora do tematyki robotniczej z tą jednak różnicą, że tematyka ta ujęta jest współcześnie i charakter ideowy tego ujęcia jest bliższy ideologii marksizmu aniżeli katolicyzmu. Nie drugi więc, ale ten trzeci Morcinek będzie doskonalszym, dojrzalszym i bliższym współczesnemu nurtowi życia i jego wielkim dziejowym przemianom społecznym.

*Zofia Ślósarska*

# SINE ira

## List otwarty do Pana Pawła Jasiennicy

W interesującym artykule pt. „Oto człowiek" umieścił Pan wzmiankę, która rzuca bardzo nieprzyjemne i bardzo krzywdzące światło na moją skromną osobę. Mianowicie pisząc o megalomanii i arystokratyzmie artystów, powiada Pan (dosłownie):

„Rozmaite bywają formy schorzenia, któremu za dewizę zawsze posłużyć mogą słowa Horacego (nawiasem mówiąc, syna wyzwoleńca): **odi profanum vulgus...**"

Ponieważ sprawa ta wiąże się z przykrymi nieporozumieniami, jakie narosły wokół mojej postaci w związku z komentowaniem moich utworów przez ludzi uwarunkowanych klasowo (np. literaci francuskiego ancien régime'u) ośmielani się zakomunikować, co następuje:

Po pierwsze: — drogi Panie Pawle, co znaczy ta uszczypliwa uwaga w nawiasie? Ja nigdy nie wypierałem się, że jestem synem wyzwoleńca, owszem, szczyciłem się tym, że ojciec mój był biednym, ale uczciwym człowiekiem. Niech Pan tylko przeczyta moje satyry: ileż ja razy tam powtarzam: me libertino patre natum! Jeśli chodzi o mój stosunek do biedaków i niewolników, to niechże Pan zajrzy do satyry II 6, gdzie opowiadam o mojej przyjacielskiej zażyłości z prostymi ludźmi w Sabinum. Natomiast na mój stosunek do możnych tego świata niech rzucą światło tylko dwa przypadkowe fakty: po pierwsze — z księgi Epistularum list I, 7 skierowany do arystokraty Mecenasa, który natarczywie zapraszał mnie do siebie (przeczytajcie ten list i nie udawajcie, żeście nic nie zrozumieli!): po drugie — słowa, jakie do mnie napisał w liście sam cesarz Oktawian August: „Czyżbyś się obawiał, że to cię okryje niesławą, gdybyś się wydał wobec mnie poufałym?"

Sądzę, że to wystarczy. Teraz przechodzę do sprawy owego nieszczęsnego: **odi profanum vulgus...** Pańska interpretacja tego wyrażenia krzywdzi mnie. Jest to po prostu wyrażenie wzorowane na pieśniach orfickich, zapowiadających mające się odbyć misterium. Zapowiadałem tu n o w e pieśni, jakie ja, mystagog misteriów Muz, śpiewałem dla tych, których miałem wtajemniczyć: dla młodego pokolenia, które stanowiło chór podczas obchodów religijnych, a którego dusza była jeszcze nie zepsuta (w przeciwieństwie do starszego pokolenia, zdemoralizowanego przez wojny domowe). Ufałem, że ta młodzież mnie zrozumie. **Profanum vulgus** — znaczy dosłownie w waszym języku: tłum znajdujący się poza świętym okręgiem, nie biorący udziału w nabożeństwie, nie wtajemniczony w misteria (wyrażenie z uroczystości eleuzyńskich, które były jedną z najbardziej demokratycznych instytucji starożytności).

Proszę przyjąć te kilka słów wyjaśnienia, które powinny usunąć drażliwe nieporozumienia. Na zakończenie pragnę wyrazić uczucia szczerej przyjaźni i poważania dla Pana osobiście oraz całej Redakcji.

**Quintus Horatius Flaccus.**

# SPROSTOWANIE

W artykule Aleksandra Matejki pt. „Perspektywy wychowawcze wczasów", zamieszczonym w nr 27-ym „Dziś i Jutro" z dnia 9 lipca 1950 roku, zaszła przykra pomyłka drukarska, w znacznym stopniu wypaczająca sens artykułu. Mianowicie w 36-ym wierszu od początku przekręcono „integrację" na „inteligencję", co jak powszechnie wiadomo, znaczy coś zupełnie różnego.

Odpowiednia część artykułu winna zatem brzmieć następująco:

„Wczasy dzisiejsze, to już zresztą nie tylko miejsce zbiorowego wypoczynku, **ale również bardzo ważny ośrodek integracji** kulturowej naszego społeczeństwa. Przebiega tu ona spontanicznie, obejmując swym wpływem, poprzez powracających do domu wczasowiczów, również ich rodziny, znajomych, towarzyszy pracy. **Powstał stąd problem wychowawczy o ogólnospołecznym znaczeniu, który w pełni zasługuje na baczną uwagę".**

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Mi-
ewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
dres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych.
Druk. Skolimowska 5.
B-111561